MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 48. WARSZAWA, 6 LISTOPADA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

WALKA Z MŁODEM POKOLENIEM

ROZWIĄZANIE Obozu Wielkiej Polski w kilku województwach, oraz projekty zmian w autonomji wszechnic naszych są wyrazem jednego i tego samego zjawiska, a mianowicie walki z młodem pokoleniem. Olbrzymia większość tego pokolenia, i to zarówno inteligencji, jak warstw ludowych, jest przeciwna grupie rządzącej. Faktowi temu nie zaprzeczają nawet organy prasowe tej grupy, usiłują go jedynie błędnie wytłumaczyć, dowodząc, że młodzież jest opętana przez jakieś mafje i ujęta w karby przez konspirację — złośliwą i przewrotną. Tłumaczenie takie jest wysoce naiwne.

Każde pokolenie w narodzie przynosi z sobą pewne usposobienia myślowe i uczuciowe. Rosnąc i rozwijając się, ulega wpływom zewnętrznym, chłonie w siebie oddziaływanie, idące od otoczenia i płynące z przeszłości, wśród wpływów tych jednak wybiera to, co odpowiada jego usposobieniom myślowym i uczuciowym. Tak powstają ruchy i prądy społeczne, które charakteryzują różne epoki.

Jeśli młode pokolenia w Polsce odrodzonej zwracają się przeciw „sanacji", to nie pod wpływem jakichś bliżej nieokreślonych machinacyj, lecz dlatego, że są duchowo tej „sanacji" obce. Jest też złudzeniem przypuszczanie, że można zabiegami natury mechanicznej — zakazami, prześladowaniem opornych, rozwiązywaniem organizacyj, nadzorem i t. p. — zmienić duszę młodego pokolenia. Wszak mamy w dziejach tyle przykładów, że się to nigdy nie udawało, że prowadziło do zaburzenia normalnego rozwoju, łamało jednostki słabsze, pozostawiało na długie lata następstwa wykoszlawień duchowych, lecz nie dawało pożądanych wyników.

Nikt też nie zdoła zgnieść prądu ideowego młodych pokoleń w Polsce odrodzonej. Conajwyżej można uzewnętrznienie się tych prądów utrudnić, a ich rozwój wypaczyć, nie na pożytek wszakże tych, co nacisk mechaniczny wywrzeć usiłują, lecz na krzywdę narodu.

Młode pokolenie w Polsce stanęło w obozie narodowym, nie pod wpływem mechanicznych nań oddziaływań, nie dla korzyści osobistych, lecz dlatego, że jego formująca się ideologja jest do ideologji tego obozu najbliższa. Powiadamy z całą rozwagą — najbliższa; bo już dziś widać, że prąd duchowy, który się formuje i rozrasta, nawiązując do myśli starszego pokolenia, posiada jednak własne oblicze; wypływa z głębokich pokładów duszy zbiorowej narodu, odpowiadając równocześnie nowym warunkom zewnętrznym, wśród których płynąć mu przypadło.

I tu dochodzimy do istoty zagadnienia, do pytania, które wymaga odpowiedzi zdecydowanej: czy ruch ideowy wśród młodego pokolenia posiada własną atmosferę duchową, czy można w nim dostrzedz pierwiastki harmonijnego światopoglądu, czy ma on własną temperaturę uczuciową. Gdyby bowiem tego wszystkiego nie było, to istotnie musiałby on podlegać wpływom mafji i konspiracji, mógłby być zatamowany czy też zwrócony w inną stronę przez zabiegi i środki mechanicznej natury.

Obserwując ten ruch z całą bezstronnością, dochodzimy do wniosku, że posiada on oblicze własne; zwraca się wyraźnie przeciwko ideologji wieku XIX, porzuca indywidualizm i materjalizm, jest najbliższy duchowo obozowi narodowemu, zbyt ciasne są dlań ramy stronnictw ludowych, nie posiada żadnych inklinacyj ku socjalizmowi; lecz — trzeba sobie to wyraźnie powiedzieć — różni się mniej lub więcej od wszystkich odłamów starszego pokolenia, które pamięta czasy przedwojenne, przeżyło wojnę w wieku dojrzałym.

I czyż można się temu dziwić, wszak czasy, w których żyjemy, są zgoła niepodobne do czasów przedwojennych; wszędzie na świecie, a zwłaszcza w Polsce. Z ogromu przemiany, jaka jest następstwem posiadania własnego państwa, trudno nam, współczesnym zdać sobie sprawę. W starszem pokoleniu tylko jednostki zdołały się wyzwolić z wię-

zów przedwojennego myślenia, dla młodego pokolenia myślenie kategorjami, zgodnemi z faktem istnienia państwa polskiego, przychodzi bez wysiłku, jest rzeczą zgoła naturalną.

Ruch młodych w Polsce nie wypracował jeszcze jakiegoś zamkniętego systemu ideologicznego, nie pogłębił się jeszcze i nie odgraniczył. Zbyt na to mało miał czasu i nie odczuwał jeszcze zapewne tej potrzeby. Niemniej przeto ujawnił już o tyle swe oblicze, że można zzewnątrz dostrzedz znamiona jego typu duchowego. Zwraca tu przedewszystkiem uwagę odwrócenie się od indywidualistycznego pojmowania życia, zerwanie przeto z całą ideologją, która po Rewolucji francuskiej doszła do najwyższego rozkwitu w ciągu wieku XIX-go. Stąd religiność młodego pokolenia i jego wiara w naród. Stąd jego zwrócenie się przeciw liberalizmowi we wszelkich dziedzinach życia ludzkiego.

Zerwanie z ideologją wieku XIX, a więc porzucenie materjalizmu, inne pojmowanie demokracji, antyliberalizm, nowoczesne pojmowanie narodu wszystko to określa stanowisko młodych wobec obozów i ugrupowań pokolenia starszego. Nie dążność do ograniczenia demokracji i wolności razi ich w piłsudczyźnie, lecz wszystko to, co jest w niej z wieku XIX. (Pomijamy rzeczy pochodne— jej politykę oraz system rządzenia). Jeśli chodzi o obóz narodowy, to młode pokolenie idzie dalej w odrzucaniu liberalizmu... w zakresie polityki narodowej posiada typ psychiczny zaczepny, a nie obronny, jak ci, co wyrośli i dojrzeli w walce z uciskiem.

Nie chcemy iść zbyt daleko w tej charakterystyce, by nie uledz pokusie przypisywania własnych poglądów przedstawicielom pokoleń młodych. Wskażemy jeszcze na to, jak te poglądy podstawowe, jak ta atmosfera uczuciowa wyraża się w stosunku młodych do spraw aktualnych. W dziedzinie politycznej ruch młodych rzucił hasło Wielkiej Polski, hasło pełne treści, jeśli się nad niem dobrze zastanowić, w dziedzinie społeczno-gospodarczej szuka własnych rozwiązań. Nie jest też wcale rzeczą przypadkową pozycja młodego pokolenia wobec sprawy żydowskiej w Polsce. Stosunek do niej ludzi młodego pokolenia nie jest następstwem „podburzań antysemickich“, ani też działania instynktów barbarzyńskich, jest natomiast wyprowadzeniem logicznych konsekwencyj z całego formującego się światopoglądu i całej atmosfery uczuciowej młodego pokolenia. Zagadnienie żydowskie stanie się niewątpliwie tym odczynnikiem, tem kryterjum, które odegra rolę przy przeobrażaniu się i krystalizowaniu prądów i obozów najbliższej przyszłości.

Przeświadczenie o tem, że ruch młodych w Polsce jest zaczątkiem nowego prądu, że nie jest sztucznym tworem, lecz ruchem samoistnym, umacnia się, jeśli się rozejrzeć po innych krajach. W całym ich szeregu młode pokolenia domagają się udziału w życiu publicznem, sięgają nawet po pierwsze w niem miejsce. Abstrahujemy na razie od treści ideowej tych ruchów, musimy jednak stwierdzić, że zarówno włoski faszyzm, jak niemiecki hitleryzm, jak rosyjski bolszewizm są to wszystko obozy, w których decydującą rolę odgrywają siły młodego pokolenia. Każdy kraj posiada oczywiście swoje własne potrzeby, wynikające z odmiennych warunków geograficznych i historycznych. Byłoby największym błędem naśladowanie tego, co się dzieje gdzieindziej, możemy zresztą mieć ambicję samodzielnej w tym zakresie twórczości. Są jednak pewne rzeczy wspólne, zwłaszcza wśród narodów zachodnio-europejskiej cywilizacji, stąd też i wspólne cechy prądów politycznych, społecznych i kulturalnych, które wśród tych narodów powstają.

Naród polski przeżywa o wiele większy przewrót, niż narody Europy zachodniej. Wszak do tego wszystkiego, co tam się stało, przybywa przejście z niewoli do wolności i wielki wysiłek zorganizowania własnego państwa. Czyż można się dziwić, że okres przejściowy trwać musi dłużej i jest bardziej skomplikowany? Musimy być cierpliwi, młode siły narodu muszą mieć czas na to, by się do wypełnienia swej misji dziejowej przygotować. Siły te jednak są i osiągną swój pełny wyraz w życiu. Łudzą się zaś ludzie, którym konjunktura oddała ster w ręce w okresie przejściowym, że potrafią zatrzymać naturalny rozwój wypadków, że zdołają żywy prąd duchowy, ruch, który niesie w swem łonie ideę Wielkiej Polski, pojętej jako ideę wielkiego narodu, zatamować, czy też zwrócić w inne łożysko środkami mechanicznemi natury materjalnej.

STANISŁAW KOZICKI

NASZE SUKCESY W GENEWIE

PONOWNY wybór Polski do Rady L. N. został powitany przez znaczną część prasy polskiej jako niebywały trjumf naszej dyplomacji.

Tymczasem niedawny wywiad prasowy, udzielony w Paryżu 17 października b. r. przez min. Augusta Zaleskiego agencji „Iskra“, stawia całą tę sprawę w zupełnie odmiennem świetle. Odpowiedzialny kierownik naszej polityki zagranicznej oświadczył bowiem dosłownie: „W Genewie rozumiano doskonale, że obecność Polski w Radzie jest nietylko rzeczą konieczną ze względu na jej geograficzne położenie, ale również ze względu na jej wielkość i znaczenie“.

Niema tu zatem mowy o żadnych wielkich, a niespodziewanych, sukcesach ani trjumfach; wybór Polski do Rady L. N. był bowiem koniecznością, spowodowaną siłą rzeczy.

Nie tu więc należy szukać pomyślnych wyników naszej akcji dyplomatycznej, a zapewne gdzieindziej, w ramach innych prac instytucji genewskiej.

XIII Zgromadzenie Ligi Narodów nie obfitowało wprawdzie w doniosłe sprawy i rozstrzygające decyzje.

Oprócz wyborów do Rady, drugą ważną kwestją, którą dyplomacja polska musiała się interesować, było zagadnienie reorganizacji Sekretarjatu. Sprawa to bowiem wielkiego politycznego znaczenia, a Sekretarjat, jedyny stały organ Ligi, odgrywa w jej działalności zupełnie pierwszorzędną, często nawet decydującą rolę. To też sprawa reformy Sekretarjatu już od lat 3-ch jest na porządku dziennym obrad genewskich i stanowi stały przedmiot żywego zainteresowania i aktywnych wysiłków dyplomatycznych wszystkich większych i szeregu małych państw.

Nic więc dziwnego, że walka o wpływy na tym terenie, zwana „kwestją reorganizacji Sekretarjatu“, stanowiła punkt centralny obrad XIII Zgromadzenia, zanim — po długich targach — zostata wreszcie rozstrzygnięta.

Delegacja polska — idąc za głosem utartej już od lat 3-ch tradycji — dążyła do zdobycia stanowiska Podsekretarza Generalnego Ligi Narodów dla Dr. Rajchman'a (rodem z Warszawy), dobrze znanego w niektórych kołach międzynarodowych, obecnego dyrektora Sekcji Hygjeny, nie mając pozatem żadnych innych celów na względzie.

Było jednak odrazu rzeczą jasną, że kandydatura Dr. Rajchman'a, popierana od 3-ch lat wytrwale i pilnie przez nasze czynniki dyplomatyczne, nie może — w żadnym wypadku — liczyć na sympatję szeregu innych państw i ich przedstawicieli. W ostatnich latach swojej działalności w Sekretarjacie Ligi Narodów popadł bowiem ten kandydat naszej dyplomacji na ważne i odpowiedzialne stanowisko jednego z Podsekretarzy Generalnych, w ostry konflikt ze światem katolickim, a prócz tego, biorąc zbyt czynny udział w przebiegu sporu Chin i Japonji przed *forum* Ligi Narodów — po stronie jednego z partnerów — ściągnął na siebie zarzut stronniczości, niedopuszczalnej u wysokiego funkcjonarjusza Instytucji Genewskiej. A oto fakty:

1. Z wiosną r. b. w oficjalnym organie prasowym Stolicy Apostolskiej — *„Osservatore Romano“* — ukazał się cykl artykułów (24 kwietnia, 22 maja, 9 i 11 czerwca 1932 r.) pióra Hr. della Torre, naczelnego redaktora pisma, ostro atakujących działalność Sekcji Hygjeny Ligi Narodów, oraz piętnujących imiennie jej dyrektora, Dr. Rajchman'a za — sprzeczną z zasadami moralnemi Kościoła Katolickiego—działalność urzędową. W tej kampanji prasowej biorą pozatem udział i inne pisma, jak: *„La Croix“* (9 kwietnia), *„The Tablet“* (30 kwietnia) i *„Kolnische Volkszeitung“* (z 7 maja t. r.) etc. O cóż właściwie chodzi?

Całe tło zatargu streszcza najlepiej odezwa t. zw. *„Union Internationale des Ligues Féminines Catholiques“* z siedzibą w Utrechcie (Holandja), opatrzona długim szeregiem podpisów, między któremi jest podpis znanej działaczki katolickiej w Polsce, Hr. Władysławowej Zamoyskiej (por. *„Osservatore Romano“* z 22 maja 1932 r.)

Pismo to, skierowane do władz Ligi Narodów, stwierdza wyraźnie, że w opublikowanym przez Sekcję Hygjeny dokumencie Nr. C. H. 1060 (*„Rapport du Comité Rapporteur sur l'Hygiène Maternelle et Infantile“*) na str. 26 znajdują się wywody, które stanowią jawną propagandę neomaltuzjanizmu oraz zalecenie stosowania środków przeciwporodowych nietylko ze względów zdrowotnych, ale również — „z powodów o charakterze osobistym i ekonomicznym“.

Ponieważ rozpowszechnianie tego rodzaju poglądów znajduje się w jaskrawej sprzeczności z podstawami nauki moralnej Kościoła z jednej, a z postulatami polityki ludnościowej niektórych państw europejskich — z drugiej strony — przeto wspomniany raport Sekcji Hygjeny wywołał liczne i ostre głosy krytyki, skierowane, przedewszystkiem, pod adresem jej dyrektora.

Epilog tej całej sprawy rozegrał się przed paru dniami w komisjach XIII Zgromadzenia Ligi Narodów. Działalność Sekcji Hygjeny i jej dyrektora była żywo atakowana, przyczem budżet Sekcji został wydatnie zmniejszony, na znak protestu. (*S. D. N. Journal Officiel*, 12.X 1932, str. 300).

Nadmienić jeszcze należy, że oprócz wspomnianego już Związku Katolickiego Lig Kobiecych, 8 innych organizacyj katolickich z różnych krajów Europy i Ameryki przesłało Lidze Narodów swoje piśmienne protesty (por. *S. D. N. Journal officiel* z 4.X 1932, str. 133), a specjalna podkomisja, wyłoniona przez II komisję Zgromadzenia, rozpatrywać musiała ostry protest delegata Irlandji, do którego przyłączyli się przedstawiciele Belgji, Włoch, Holandji i Luxemburga. (*Journal officiel* z 2.X 1932, str. 94 — 95).

Wreszcie w sprawozdaniu przedstawionem XXXIII Zgromadzeniu L. N. przez jego II komisję (Nr. officiel A. 50) na stronie 4 powiedziano, iż wobec protestów niektórych delegacyj, wspomniany już Raport Komitetu Sprawozdawczego do spraw Hygjeny Matki i Dziecka (Nr. officiel C. H. 1060) zostaje wycofany i ma być opracowany na nowo, z uwzględnieniem uwag tych delegacyj, które przeciw niemu protestowały.

2. Stan zdrowotności publicznej Chin jest przedmiotem szczególnej troski Sekcji Hygjeny Ligi Narodów, a zwłaszcza—i przedewszystkiem — jej dyrektora. Ten ostatni jest nawet funkcjonarjuszem publicznym Republiki Chińskiej jako doradca Rządu Nankińskiego do spraw hygjeny, na mocy specjalnej nominacji tegoż rządu i za zgodą Sekretarza Generalnego Ligi Narodów.

Zdawałoby się, napozór, że funkcje takiego doradcy Rządu Narodowego Republiki Chińskiej w Nankinie nie mają nic wspólnego z polityką, a zwłaszcza ze sporem chińsko-japońskim—w rzeczywistości jednak okazało się, iż jest inaczej.

W grudniu bowiem ubiegłego roku londyński *„Times“* donosił, że koła rządowe i opinja publiczna w Japonji żywo są poruszone działalnością Dr. Rajchmana, Dyrektora Sekcji Hygieny L. N., bawiącego podówczas w Chinach, która to działalność, ich zdaniem, przekracza zakres hygjeny publicznej i jest sprzeczna z obowiązkiem bezstronności, jakiej urząd Dr. Rajchmana w Sekretarjacie L. N. bezwzględnie wymaga. Rząd japoński polecił nawet swemu delegatowi, p. Yoshizawa, złożyć z tego powodu władzom L. N. kategoryczny protest. (por. *„La Revue Hebdomadaire“* z 12. XII. 1931 s. 192).

Widzimy więc jasno, że wybór Dr. Rajchmana, jako kandydata Rządu Polskiego na stanowisko Podsekretarza Generalnego Ligi Narodów, nie był ani trafny, ani szczęśliwy. Co więcej: kandydatura ta nie mogła mieć żadnych szans powodzenia. Dr. Rajchman bowiem jest dziś — z powodów wyszczególnionych powyżej — osobistością wielce niepopularną, jeśli już nie wręcz nie skompromitowaną w oczach wielu czynników decydujących na terenie Ligi Narodów.

Należy naprawdę żałować, że nasze sfery rządowe nie zostały o tem powiadomione w porę, nie traconoby bowiem napróżno wysiłków i starań tam, gdzie nic pożytecznego osiągnąć nie było można.

Tymczasem jednak inne, ważniejsze sprawy uszły całkowicie naszej uwagi, a przedewszystkiem — oddanie nowemu Podsekretarzowi Gene-

ralnemu, Niemcowi, (którym ma być podobno p. von Trendelenburg, b. Sekretarz Stanu) całkowitego zarządu i kontroli nad całokształtem działalności ekonomicznej i finansowej Ligi Narodów, co — z pewnością — nie wyjdzie na dobre naszym na tym terenie interesom. Nie wyzyskano także i tym razem jeszcze jednej okazji, aby wzmocnić nasz stan posiadania w stałych organach Ligi. Polska bowiem, — jak to już dobrze wiadomo — nie jest tam dotąd właściwie reprezentowana. Taki jest bilans naszych „sukcesów genewskich"; trudno go nazwać dodatnim.

Szkoda, że kierując się niefortunnie motywami natury ściśle personalnej, zapomniano o rzeczywistych, żywotnych i pilnych interesach państwowych.

Lozanna, w październiku 1932 r. K. W. T.

ZA GŁODUJĄCEMI KARPATAMI

W ARTYKUŁACH, drukowanych w numerach 27 i 33 „Myśli Narodowej", a dotyczących stosunków we wschodnich Karpatach, kilkakrotnie dotknąłem Rusi Zakarpackiej, oficjalnie Podkarpacką zwanej. Mały ten kraik, leżący na południe od Karpat wschodnich, jest u nas prawie nieznany. O ile wiem, pisał o nim w bardzo ładnej rozprawie jedynie Leon Wasilewski [1]). Pozatem publicystyka zajmuje się Rusią Podkarpacką minimalnie. W naszych dziennikach pisze się najwyżej zimową porą o gromadach wilków grasujących w tych okolicach. A szkoda, gdyż za Karpatami dzieją się rzeczy bardzo dla nas ważne. Bez znajomości tamtejszych stosunków i tendencyj rozwojowych nie zrozumie się dobrze naszej sytuacji w Karpatach wschodnich. Dlatego próbuję w artykule dzisiejszym niektóre zagadnienia, związane z Rusią Podkarpacką, w miarę dostępnych wiadomości omówić.

Żeby dobrze zrozumieć stosunki na Rusi Podkarpackiej trzeba sobie uświadomić, że Czesi, którzy kraj ten otrzymali na mocy traktatu w St. Germain w dniu 10 października 1919 roku, przyszli do kraju całkiem sobie obcego. Ani Czesi jako tacy, ani też Słowacy nigdy tam przedtem nie mieli żadnych wpływów. Szczepy ruskie, mówiące narzeczami podobnemi do narzeczy naszych ruskich górali, podlegały przez cały ciąg dziejów historycznych oddziaływaniom politycznym i kulturalnym Węgrów. Na skutek tego ludność została w wysokim stopniu zmadziaryzowana. Madziaryzacja nie ogarnęła jedynie najbiedniejszych i najmniej kulturalnych okolic górskich. Wszystko zaś, co zamożniejsze i bardziej oświecone, uważało się za Węgrów. Pomiędzy niedobitkami elementu ruskiego, nieogarniętemi przez falę madziaryzacyjną, można było przed wojną obserwować bardzo słabiutkie prądy polityczne, mające swe źródła i prototypy w sąsiedniej Galicji t. j. silniej rozwinięty moskalofilski i słabszy ukraiński.

Naogół w Polsce utarło się przekonanie, że Czechosłowacy postarali się o zabranie Rusi Podkarpackiej w celu zrobienia z niej korytarza, łączącego Czechosłowację z Rosją, czy to bezpośrednio, gdyby Wschodnia Małopolska dostała się Rosji, czy też przez Ukrainę, gdyby ta powstała. Nie przypuszczam jednak, aby zajęcie Rusi Podkarpackiej a zwłaszcza późniejszą politykę czeską w tym kraju można było wytłumaczyć jedynie i wyłącznie chęcią zdobycia wspólnej granicy z Rosją. Czyż nie jest prawdopodobne, że Czesi od początku traktowali Ruś Podkarpacką przedewszystkiem jako teren swojej ekspansji narodowej?

A jeśli się stanie na tem stanowisku, to polityka czeska, realizowana tak konsekwentnie na Rusi Podkarpackiej, traci zupełnie wszelkie rysy nieuzasadnionego romantyzmu. Uwydatni się nam dopiero wtedy jej przemyślany realizm i celowość. Czesi dzięki dobrej konjunkturze otrzymali kraj, jak już powiedziałem, zupełnie sobie obcy i zmadziaryzowany. Węgrzy przytem siedzą wzdłuż Cisy, granicząc na całem terytorjum długiego klina zakarpackiego ze swojem państwem narodowem. Są oni jedynymi właściwie i bardzo groźnymi przeciwnikami panowania czeskiego na Rusi Podkarpackiej. Wobec takiej sytuacji najważniejszym celem polityki czeskiej musiało być odmadziaryzowanie kraju. Sami tego oczywiście zrobić nie mogli, nie mając poprzednio w kraju żadnych wpływów. Miejscowa ludność ciemna, niezamożna i odnosząca się do Węgrów jak do swoich przyrodzonych panów, na razie przynajmniej nie nadawało się na to, aby jej można było użyć do wyparcia wpływów węgierskich. Cóż więc dziwnego, że będąc w tak ciężkich warunkach postanowili wykorzystać do najważniejszej swojej pracy politycznej emigrantów rosyjskich, wypędzonych przez bolszewików i emigrację wojskowo-polityczną ukraińską, pochodzącą zarówno z właściwej Ukrainy jak też przedewszystkiem ze wschodniej Małopolski. Obie emigracje mogły nawiązać kontakt z pewną częścią podkarpackiej masy ludowej ruskiej i zaktywizować ją w walce z elementem i kulturą węgierską. Obie też, na pewien przynajmiej czas, nie były z racji właśnie swego emigranckiego położenia niebezpieczne dla Czechów. Emigranci przecież są wprost administracyjnie zależni od rządu, który, w razie niezadowolenia, może ich unieszkodliwić w bardzo krótkiej drodze, przez wydanie nakazu opuszczenia granic państwa. Transplantacja obu tych grup na Ruś Podkarpacką podzieliła gruntownie i gwałtownie ludność ruską na dwie wrogie i zajadle się zwalczające grupy. Ncjzaciętsza walka idzie na razie o to, czy na Rusi zapanować ma język rosyjski, czy też miejscowe, a zukrainizowane narzecze. Walka ta, umiejętnie wyzyskiwana przez rząd, daje mu kapitalne korzyści w polityce bieżącej. Podczas gdy Węgrzy, moskalofile i Ukraińcy prowadzą wzajemną walkę, Czechosłowacy zdobywają powoli i systematycznie Ruś Podkarpacką, a przedewszystkiem uczą się jej i całą siłą swej praktycznej, a energicznej działalności wtłaczają ją w ogólne życie Cz. S. R. Jakby symbolem stosunku Czechów do Rusi Podkarpackiej jest romantyczna ekspedycja malarska młodego malarza praskiego, Franty Arona, który przeprowadził oryginalne zdjęcie malarskie pięknej przyrody podkarpackiej, malując ją w stu obrazach, które zresztą zyskownie sprzedał. (W tem miejscu mimowoli na-

[1]) L. Wasilewski: „Na Rusi Podkarpackiej" w książce „Sprawy narodowościowe w teorji i w życiu". Warszawa, 1929.

suwa się porównanie trzech urzędowych „ukrainizacyj“, przeprowadzonych w latach powojennych przez trzy słowiańskie państwa, t. j. Czechosłowację, Związek Sowiecki i Polskę. Że Czesi robią dotychczas na tem dobry interes, to widzimy z powyższych wywodów. Bolszewicy zmuszeni byli do swej ukrainizacji przez Niemców, którzy im zostawili Ukrainę w spadku. W imię jakich i czyich jednak celów odbywa się ukrainizacja Wołynia i Polesia na terenie Polski? Przecie mamy tam takie wpływy i siły polskie, jakich Czesi nie będą mieć na Podkarpaciu za lat sto).

Oczywiście wszystko, co wyżej powiedziałem, nie znaczy, że Czesi nie mają i nie będą mieć trudności na Podkarpaciu. Nawet takim realistom politycznym jak Czesi trudno jest rządzić w obcym im kraju bez możności oparcia się o zupełnie pewną ludność, którą mogliby być tylko Czesi czy też Słowacy. A skład narodowościowy Rusi, pomimo zaangażowania do walki z madziaryzacją kraju sił emigranckich, zmienia się, zdaje się, za powoli. Nie widzimy tak gwałtownych skoków w składzie ludności jak np. na naszych kresach zachodnich, gdzie ludność niemiecka zredukowała się do *minimum*. Czechosłowacki rząd przeprowadził na Podkarpaciu dotychczas dwa spisy ludności. Oto rezultaty tych spisów (podaję cyfry za artykułem „*Diła*“ nr. 156 b. r. zatytułowanym: „*Nasełenia Zakarpatskoi Ukrainy*“):

	Spis 15.II.1921		Spis 1.XII.1930	
	Ilość	%	Ilość	%
Czechosłowacy .	19.975	3,31	35.157	4,96
Rusini	372.500	62,32	447.182	63,04
Węgrzy . . .	103.690	17,35	108.950	15,36
Żydzi	79.715	13,33	90.509	12,76
Niemcy. . . .	10.326	1,73	12.650	1,78
Rumuni. . . .	10.810	1,81	13.223	1,86
Cyganie . . .	418	0,07	1.341	0,19
Inni	497	0,08	303	0,05
Obcy obywatele	6.862	—	16.300	—

Z zestawienia powyższego wynika, że Węgrzy spadli w omawianem dziesięcioleciu zaledwie o dwa procent. Ich kosztem wzrosła liczba Rusinów, Cyganów, Niemców i częściowo Czechosłowaków. Również spadek procentu Żydów, którzy wyemigrowali do zachodnich krajów Cz. S. R., należy w zasadzie uważać za ubytek wpływów węgierskich. Przyrost Czechosłowaków jest stosunkowo słaby. Ich zaś możliwości rozwojowe idą bodaj więcej po linji wypierania Żydów aniżeli Węgrów. Miejsce Węgrów zajmować zaś będą Rusini, którzy już dziś podobno w liczbie 20.000 zeszli z gór i skolonizowali niektóre okolice doliny nadcisańskiej. Wygląda jednak na to, że wyparcie Węgrów będzie bardzo trudne. Oto jest pierwsza trudność, jakiej Czesi nie zdołali zlikwidować. Te powyżej sto tysięcy ludności węgierskiej reprezentuje ciągle jeszcze o wiele większy walor kulturalno-polityczny, aniżeli ich udział procentowy.

Druga trudność, groźniejsza, mniej obliczalna, mało jeszcze zarówno Czechom jak też i postronnym czynnikom politycznym uświadomiona, rośnie w postaci ukrainizmu. Czesi przyjęli emigrację ukraińską, reprezentującą sfery najbardziej nieprzejednane, całem sercem i całą kieszenią. Rząd przychodził zarówno osobom jak i instytucjom z wydatną pomocą. Emigrantom pozwolono się organizować we wszystkich możliwych kierunkach. Rząd czechosłowacki utrzymywał przez dziesięć lat uniwersytet ukraiński w Pradze, instytut pedagogiczny oraz akademję rolniczo-gospodarczą w Podjebradach. Wszystkie te szkoły wyższe wypuściły setki młodzieży ukraińskiej, która w lwiej części znalazła zajęcie właśnie na Rusi Podkarpackiej. (Dość poważna część wychowanków tych szkół wróciła do Małopolski wschodniej i na Wołyń, nostryfikowała swoje dyplomy i skonsolidowała się przedewszystkiem na terenie ukraińskiego ruchu spółdzielczego, tworząc najzaciętsze gniazda działalności separatystycznej u nas). Ci ukraińscy emigranci, znalazłszy się na terytorjum Rusi Podkarpackiej, zasilili bardzo wydatnie miejscowych ukrainofilów i razem wytworzyli dość duży, wpływowy i ruchliwy aparat pracy polityczno-społecznej. Politycznie ukrainizm na razie zaznaczył się w formie działalności partji komunistycznej, która pierwsza stanęła na stanowisku ukraińskiem, używając w swych wydawnictwach ukrainizowanego języka miejscowego. Na stanowisku ukraińskiem stanęli też na Rusi socjaliści. Obie marxistowskie partje posługują się, przy swoich specyficznych hasłach, także hasłami nacjonalistycznemi. O sile organizacyjnej ruchu ukraińskiego świadczy duży rozrost pracy oświatowej i politycznej, prowadzonej przez „Proświty“, tak dobrze nam znane z naszego terytorjum. Organizacja ta, na czele której stoi stary działacz Braszczajko, liczyła w 1931 r. 107 aktywnych czytelń, a 37 czytelń przygotowano do otwarcia. Cyfry te wskazują, że prawie co druga gmina, zamieszkała przez ludność ruską, posiada czytelnię „Proświty“. „Proświta“ wybudowała wielką centralę w Użgorodzie oraz prowadziła doniedawna „Ruski Teatr“. Najważniejszą armją bojową ukrainizmu jest nauczycielstwo szkół powszechnych, które w przeważnej swej większości opowiada się przeciw „russkim“, a za ukrainizacją szkolnictwa, o które teraz toczy się wzmożona walka. Chodzi o to, czy językiem wykładowym ma być jedynie język ukraiński, czy też tak jak jest dotychczas ukraiński i rosyjski, oczywiście każdy w innej szkole. Ostatnio ukrainizujące nauczycielstwo przypuściło, bezskutecznie narazie, generalny szturm do okopów dwujęzyczności szkolnej na Podkarpaciu. Dnia 2 lipca b. r. odbył się w Huszt kongres nauczycielstwa, urządzony staraniem związku nauczycielskiego „Narodowedce Uczytelskie Towarystwo“. Towarzystwo to grupuje około 800 nauczycieli, a na kongresie było ich 656. Kongres był wielką manifestacją i propagandą ukrainizmu. Uchwały kongresu żądają kompletnej ukrainizacji szkolnictwa karpato-ruskiego. Równocześnie jednakże interwenjowali u czeskiego ministra oświaty przedstawiciele stowarzyszeń moskalofilskich z dywersyjnemi żądaniami deukranizacji szkolnictwa. Minister stanął na stanowisku utrzymania dwujęzyczności szkolnictwa. Przy tej sposobności przedłożył on delegacji moskalofilskiej statystykę, z której wynika, że w 810 klasach używano w zeszłym roku podręczników ukraińskich a w 488 zaledwie rosyjskich. Statystyka owa wskazuje, że akurat tyle jest klas ukraińskich, ilu członków liczy „narodowedce“ towarzystwo nauczycielskie.

Ofensywa ukraińska nie ogranicza się jedynie do spraw szkolnych. Rozwija się ona stopniowo we wszystkich dziedzinach życia. Tak np. Czesi

zabiegali o to, aby na stolcu biskupim grecko-katolickiego biskupstwa osadzić Czecha, którym dysponowali. Sprzeciw jednakże opinji publicznej, a zapewne też wpływy hierarchji grecko-katolickiej w Polsce sprawiły, że biskupem został rusin ks. A. Stojka. W ostatnich czasach dość silna działalność ukraińska zaczęła się także przejawać na północno-wschodnich kresach Słowaczyzny, gdzie mieszkają bądź Rusini (naliczono ich na Słowaczyznie podczas spisu 1921 r. 85,644 ludzi) bądź też grupy mówiące narzeczami przejściowemi słowacko-ruskiemi. Działa tam z pewną intensywnością Ośrodek w Preszowie, który w czasie Zielonych Świąt urządził 540-letnią rocznicę pobytu za Karpatami kniazia Fedora Korjatowicza. Ruchliwość ukraińców napędziła Słowakom sporo strachu, który zaczął się uwidoczniać w alarmach prasowych. Ukraińcy ukuli już nawet nowy termin geograficzno-agitacyjny, mówiąc o „Preszowskiej Rusi“ w odróżnieniu od Rusi Podkarpackiej.

Na razie, poza preszowskim odcinkiem wypadowym, ukraiński front nie jest jeszcze frontem antyczeskim. Ukraińców absorbuje jeszcze podstawowa dla nich walka z Węgrami i przedewszystkiem z moskalofilami. Pochłania ona główną część ich sił, a daje bardzo poważne zdobycze. Oprócz tego Czesi mają olbrzymie gromady zakładników ukraińskich w postaci licznej, mającej najbardziej wymarzoną swobodę emigracji ukraińskiej. Los emigrantów w Czechosłowacji, możność ich życia i działania politycznego zależy od lojalności tak obozu ukraińskiego na Podkarpaciu, jak też od poprawnego zachowywania się ukraińców czy też kół emigranckich za granicami Cz. S. R. Lojalność ukraińców wymuszają jeszcze i inne momenty. Na pierwszym miejscu trzeba postawić stosunkowo małe jeszcze zasoby ukraińskiego ruchu podkarpackiego. Ustosunkowanie się ukraińców do Czechów możnaby określić popularnem powiedzeniem, że robią oni dobrą minę przy złej grze. To też np. w prasie ukraińskiej, wychodzącej w Polsce, ukazują się jeszcze czechofilskie artykuły, ale już często przeniknięte goryczą, a nawet jakby pewnemi groźbami. Obok tych małych grymasów w prasie ukraińskiej zaczynają się zjawiać pewne bardzo ciekawe figury na scenie tego podkarpackiego teatru. Tak np. na wiosnę tego roku na Rusi Podkarpackiej zapanował głód, spowodowany kryzysem. Zaraz „przypadkowo“ znaleźli się tam dwaj dziennikarze, Niemiec i Anglik, którzy interwenjowali w tej sprawie u ministra spraw wewnętrznych i prosili, aby rząd przyszedł z pomocą głodującym. Jest prawdopodobne, że w najbliższym czasie takie lalki niemieckie i angielskie będą się na Rusi Podkarpackiej zjawiać częściej; należą one bowiem do programu przedstawienia, odgrywającego się w podkarpackim „wertepie“. Niedaleka też wydaje się chwila zerwania przyjaznych stosunków czesko-ukraińskich. Odległość tej chwili zależeć będzie przedewszystkiem od zasobów obozu ukraińskiego w Czechosłowacji, czeskie bowiem środki utrzymywania przychylności ukraińskiej gwałtownie się wyczerpują. Emigracja przecież wymiera, przez to się zmniejsza i traci na cenie zakładniczej, pozatem zbyt dużo kosztuje.

Czesi mogą liczyć w walce z ukraińcami jedynie na aparat państwowy, który prawie w całości mają w swoich rękach, i na moskalofilów. Obóz moskalofilski jest jednak, jak to mogliśmy obserwować w stosunkach szkolnych, o wiele słabszy. Pod względem społeczno-politycznym reprezentuje on elementy mniej radykalne. Jest to oczywiście jego słaba strona. Jest bardzo prawdopodobne, że z czasem ilościowo zgrupuje on jedynie Rusinów prawosławnych, którzy liczyli w roku 1921 zaledwie 13,56% ogółu Rusinów. Czy i to jest jednakże pewne wobec tego, że biskupem prawosławnym został duchowny narodowości serbskiej, trudno dzisiaj przesądzać.

Oczywiście, że naszkicowany wyżej rozwój stosunków politycznych na Rusi Podkarpackiej i północno-wschodnich kresach Słowaczyzny zagraża nietylko interesom politycznym czesko-słowackim, ale też i polskim. Wobec konsekwentnie przygotowanego ataku niemieckiego na oba państwa zachodnio-słowiańskie ostanie się ich i zwycięstwo w bardzo prawdopodobnej wojnie, którą im Niemcy narzucą, zależy w dużej mierze od stopnia ich konsolidacji politycznej na wewnątrz oraz stopnia ich wzajemnego zespolenia. Zarysowany wyżej rozwój stosunków politycznych na Rusi Podkarpackiej bardzo poważnie podważa możliwości konsolidacji wewnętrznej obu państw oraz przeszkadza w pożądanem ich zespoleniu. Gdyby przecież ukraiński ruch opanował na stałe południowy stok Karpat, to przy dzisiejszym stanie sprawy ruskiej u nas, oba państwa zachodnio-słowiańskie zostałyby rozdzielone bardzo niebezpiecznym klinem ukraińskim. Klin taki zredukowałby w zasadzie granicę polsko-czeską do jej odcinka śląskiego, a Czesi, w razie jakiegoś konfliktu z Niemcami, mieliby na Rusi Podkarpackiej do czynienia nietylko z filogermanizmem ukraińskim, ale także i węgierskim. Już sama ta jedna perspektywa wskazuje na to, po czyjej stronie muszą być nasze sympatje. Za Karpatami *nostra res agitur* i dlatego musimy Czechosłowakom nie tylko życzyć zwycięstwa, ale w miarę naszych sił do zwycięstwa tego im pomagać.

W obecnych stosunkach na Podkarpaciu tkwią jednakże bardziej aktualne niedogodności i niebezpieczeństwa dla nas. Już sam fakt zbytniego rozrostu ukrainizmu, i to nastrojonego komunistycznie i socjalistycznie, jest zjawiskiem niepożądanem. Pogarsza on nasze możliwości asymilacyjne, budząc w masach ruskich, zamieszkujących wschodnie Karpaty, różne nieuzasadnione nadzieje. Ukrainizacja np. Preszowszczyzny mogłaby się przenieść na Łemkowszczyznę. Najgorsze jednak ze wszystkiego jest to, że Podkarpacie staje się dzisiaj czemś nakształt siczy zaporoskiej, o której nigdy nie wiedzieć jak, kiedy i przeciw komu się obróci. To podobieństwo do siczy nie jest figurą retoryczną. Przecie u nas ustalił się już zwyczaj, że komu z ukrainizujących Rusinów jest w Polsce za ciasno, kto dokonał jakiegoś zamachu, brał udział w jakimś napadzie, skompromitował się jako działacz U. O. W., ten przechodzi przez Karpaty na południe i tonie tam pomiędzy owemi szesnastoma tysiącami „obcych obywateli“, zanotowanych przez ostatni spis ludności na Rusi Podkarpackiej. A w całych Czechach jest ich przecie o wiele więcej. To właśnie ptactwo wędrowne rzeczywistych siczowników, zgrupowane na Podkarpaciu, stanowi bardzo poważne, a niedoceniane niebezpieczeństwo.

KAROL STOJANOWSKI

CYPRJAN NORWID: INFORMACJA BIOGRAFICZNA. — I

POCHODZENIE NORWIDA

W ROKU ubiegłym ogłosiłem w „Myśli Narodowej“ szkic p. t. „Gwiazda literacka: Norwid“ [1]). Chodziło mi tam o zorjentowanie się w zasadniczej budowie duszy twórczej Norwida. Przez zanalizowanie światła ideowego, które rzucał w pismach swoich od wczesnej młodości, stwierdziłem, że nie była to dusza jednolicie zestrojona. Rysem zasadniczym Norwida, przy całem bogactwie jego natury, było rozdwojenie, z którego się ratował wysiłkiem intelektu. Musiał mieć ku temu predyspozycje od natury, ale to rozdwojenie utrwaliło się, odkąd myśl poety znalazła oparcie w filozofji idealistycznej niemieckiej, która się do duszy jego dopasowała. Stan ducha tak wytworzony można określić jako zjawisko porażenia filozoficznego.

Trzeba było od tej analizy zacząć, aby dalsze prace nad Norwidem miały wartość pracy celowej i wreszcie pozwoliły nam zrozumieć go i ocenić. Przedewszystkiem zbadanie życia poety, a przez nie jego natury, bardzo jest potrzebne dla samego sprawdzenia słuszności powyższego wniosku.

1

Pierwszeństwo należy dać zeznaniom autobiograficznym.

W aktach polskiego przytułku dla ubogich Św. Kazimierza na ulicy Chevaleret w Paryżu Norwid zapisany był w ten sposób:

„Norwid Cyprjan, ur. 24.VII.1827 z ojca Jana, Kawalera Maltańskiego i matki Ludwiki Zdzieborskiej koło Warszawy, malarz, katolik, nieżonaty. Przybył do Francji w r. 1848, do zakładu św. Kazimierza 1877. Zmarł w maju 1883 [2]).

Niewątpliwie owe dane o pochodzeniu podyktował zakładowi sam Norwid. W dacie urodzenia błąd o sześć lat! Według metryki urodził się 24 września 1821. Może to błąd prowadzącego księgę, czy robiącego odpis, bo czyżby zależało Norwidowi na ujmowaniu sobie lat? W każdym razie informacja o ojcu, że był kawalerem maltańskim, jak zobaczymy potem, jest fantastyczna.

Napewno jego własna jest autobiografja, udzielona przez Norwida w r. 1872 na użytek wydawnictwa naukowego [3]). Przytoczę parę ustępów charakterystycznych:

„Cyprjan Kamil Norwid (de) przyszedł na świat w Mazowszu na wsi dziedzicznej zwanej Laskowo o mil parę od Warszawy czasu, kiedy w Grecji umierał Noël Byron [4]). I z tych dwóch współczesnych zdarzeń nie wie dotąd, które jest smętniejsze?! Wziął na chrzcie imię Cyprjan, zaś imię Kamil nadał mu kardynał Franzoni w Rzymie przy akcie konfirmacji“.

To imiona, a nazwisko swoje poeta tak wywodzi:

„Norwidy, a pierwotnie Norwithy (na Litwie i na Żmudzi Norwity, w wymawianiu mazowieckiem przez *d* stwardniało) datują od wycieczek Normandzkich na brzegach mórz północnych. Unja dała im w głównej linji rodu herb Topór, mający jeszcze przed uchwałą Koszycką przywilej książęcia (*dux*), koronę książąt i purpurę (czego jednak nie używa się).

Do dziś jest osada Norwidy w Marjampolskiem, niegdyś własność ojca Cyprjana Norwida; jest też w tym rodzie Kawalerstwo Maltańskie“...

Więc nie ojciec był tym kawalerem maltańskim? A dalej:

„Dziadkiem matki Norwida jest ten Józef Janina Sobieski, który (wylegitymowany przez Sejm Rzplitej jako z linji kollatorskiej Sobieskich pochodzący) był 18 lat mając wodzem na zelnym kwarcianego wojska Radziwiłłowskiego i bronił Nieświerza (-(tak)-) *Magni nominis umbra*“.

Zwraca uwagę w tym wywodzie, oprócz upodobania w tradycjonalizmie, wybitny rys, właściwy drobnej szlachcie mazurskiej, legitymowania się wysokiem pochodzeniem heraldycznem. Niewątpliwie Norwid był mazurem z przymieszką krwi normańskiej, która obficie zabarwiła naszych mazurów od północy. Antropologja poczytuje tę przymieszkę za czynnik dodatni, a jakie ona daje wyniki w najgłębszych pokładach psychicznych, o tem bodaj pierwszy raz na Norwidzie nauka może się przekonać, jemu bowiem pierwszemu wśród mazurów tego pochodzenia, nietylko w rodzie Norwidów, wypadło dobywać z tych najgłębszych pokładów atuty psychiczne w grze o genjalność twórczą i sławę. W wyobraźni mojej, pod wpływem popularnych wiadomości o Normanach i powyższej autobiografji, tajemnica duszy Norwida i jego losu tłumaczy się w pewnej mierze przemożną rolą owej przymieszki normańskiej do krwi słowiańskiej, mianowicie jego niepokój, prący do wędrownictwa i zdobywania świata, jego samotnictwo na jakiejś niedostępnej skale, jego wiara w posłannictwo zgóry dane poezji i praca tantalowa myśli, którą, jak kotwicę, zarzucał w głębię, aby gdzieś uchwycić kontakt z życiem i wieczna tęsknota za kresem, gdzie ziemia łączy się z niebem, oceanem wieczności...

2

Najbliższy rodowód, dzięki najnowszym publikacjom [5]), można określić bardziej pozytywnie, niż to zrobił w autobiografji sam Norwid. Ojciec Cyprjana, Jan Norwid, urodzony 24 czerwca 1784 r., pochodził z Białej Rusi, gdzie na urzędach administracyjnych w służbie rosyjskiej doszedł do stanowiska komisarza obwodowego. Miał tam nawet jakąś posiadłość, ale tak zaplątał się w długi, że w r. 1817 całkiem jej poniechał i przeniósł się z „kraju zabranego“ do Królestwa Kongresowego. Tutaj wkrótce się ożenił. W r. 1832 pełnił urząd komisarza obwodu Marjampolskiego, niema jednak żadnego śladu, aby tam posiadał jakąś osadę Norwidy, o której wspomina autobiografja. W aktach kancelarji namiestnikowskiej, dotyczących konduity

[1]) „Myśl Narodowa“, 1931, nr. 22, 23 i 24.

[2]) Adam Krechowiecki: „O Cyprjanie Norwidzie“. Lwów 1909, II, 295.

[3]) Przysłał ją z Paryża do Krakowa redakcji „Wiadomości archeologiczno-numizmatycznych“. Wydawca W. Martynowski ogłosił ją w całości w r. 1897, nr. 14.

[4]) Byron umarł 19 kwietnia 1824 r.

[5]) Wszystko, co niżej powiem o pochodzeniu Norwida, czerpię z pracy Stefana Pomarańskiego „Z dziejów doli Norwidowej w Ojczyźnie“. „Ruch Literacki“ z r. 1926, nr. 8.

różnych osób w czasie rewolucji 1831 r., znajduje się dokument, który Janowi Norwidowi wystawia taką atestację: „Podczas wynikłego w Warszawie buntu (*miatieża*) znajdował się w Warszawie, gdzie też pozostał, nie biorąc w takowym żadnego udziału, obecnie zaś (1832) pełni swój urząd ze szczególną gorliwością, czego dowodzi najakuratniejszy w porównaniu z innemi obwodami pobór podatków, a zwłaszcza działalność w chwytaniu bandytów, włóczęgów i uchylających się od służby wojskowej...“

Później Jan Norwid był komisarzem obwodu Stanisławowskiego (pod Warszawą, późniejszy pow. nowomiński, a obecnie radzymiński) i na tem stanowisku zmarł 25 lipca 1835. Zmarł po ciężkiej chorobie, jak wnosić można z opinji lekarza, na raka w żołądku [6]).

O tę posadę w Stanisławowie ubiegał się komisarz pewno dlatego, że stamtąd pochodziła jego żona, p. Ludwika Zdzieborska, którą był pojął wnet po przybyciu do Królestwa, 25 kwietnia 1818 r. Pod Stanisławowem mianowicie była owa „wieś dziedziczna“, którą tak szumnie wymienia Norwid w autobiografji, Laskowo-Głuchy. Było to zapewne gospodarstwo rolne Zdzieborskich, cała bowiem rodzina żony komisarza, a matki Cyprjana gnieździła się w Stanisławowie lub okolicy. Tutaj musiał pewno dłużej przy żonie mieszkać Jan Norwid, zanim posadę znalazł, skoro Cyprjan (będący trzeciem ich dzieckiem) w Laskowie się urodził. Najstarszy syn Norwidów, Ludwik, urodził się w roku ślubu rodziców 21 listopada 1818 r., córka Paulina przyszła na świat w r. 1820, Cyprjan w 1821, Franciszek w 1825. Czy rodzina udawała się z ojcem do Marjampolu, gdy tam posadę dostał, nie widzę śladów.

Rodzina matki większą odegrała rolę w życiu Cyprjana niż ojciec. Babka, Hilarja Zdzieborska przeżyła i matkę i ojca. Ona, po śmierci rodziców, opiekowała się wnukiem. Przez nią owe koligacje z Sobieskimi, na których powołuje się Norwid. Była to córka miecznika lidzkiego Józefa Sobieskiego i Wiktorji (Bugnówny z domu) Sobieskiej. Brat jej Michał Sobieski w postaniu 1831 dosłużył się rangi pułkownika, widocznie w powstanie również się nie angażował, bo od r. 1836 był naczelnikiem stałego wydziału Heroldji Królestwa Polskiego w randze radcy stanu. Jego protekcja przyda się wkrótce Cyprjanowi. Brat stryjeczny owego radcy i p. Hilarji, Jan Sobieski (z ojca Stanisława) był podówczas rejentem w Stanisławowie. Wreszcie jedna z Sobieskich, Anna, była pierwszą żoną Ksawerego Dybowskiego, ongi stolnika bełzkiego, a w owym czasie właściciela folwarku Dębinki pod tymże Stanisławowem. O tych Dębinkach i Dybowskim często się mówi w życiorysie Norwida.

To było środowisko, z którego Norwid wyszedł — sfera szlachty mazowieckiej (z domieszką małopolskich Sobieskich), bądź średnich posesjonatów rolnych, bądź pochodzącej stamtąd inteligencji, jak radca i rejent Sobiescy. Ci Sobiescy i właściciel Dębinek Dybowski — to były już wysokie „klamki“, na które oglądać się musiała najbliższa Cyprjana rodzina i on sam. To środowisko pod Otwockiem i Warszawą dało Norwidowi właściwy sobie sposób bycia, decydujący o psychice człowieka społecznego. System woluntarystyczny Norwida wraz z poglądem na życie społeczne był mazurski. Niewiele mogło mu dać to stosunkowo surowe środowisko, ale to, co dawało, miało swoją wartość.

[6]) Pomarański, l. c. s. 233.

3

Mazowsze, z wyjątkiem Płocka, niezbyt odległą miało przeszłość historyczną. Nie miało czasu wyrobić sobie wyższych uzdolnień politycznych, jak Wielkopolska lub Małopolska, uzdolnień tak mu potrzebnych, odkąd wzięło na siebie odpowiedzialną rolę przewodzenia państwu i narodowi ze sterem w stolicy mazowieckiej. Mazowsze spełniało mozolnie swoją misję trzebieży i kolonizacji, wreszcie wygrzebywało się z ruin po spustoszeniach wojen szwedzkich. Siłą Mazowsza była bezpośredniość zarówno w walce politycznej, jak i robocie cywilizacyjnej. Szło za instynktem drobnej szlachty, dającej charakter tej ziemi. A ta szlachta z równą bezpośredniością traktowała swoje religijne podstawy cywilizacyjne, jak i stosunek do ziemi, czy do zadań politycznych. Siłą Mazowsza była praca, dokonywana z pasją „dokonania“, płynącą z temperamentu, nauczonego w walce z przyrodą, że jedynie skuteczne jest to, co się samemu zrobi. Nie odróżniając zbytnio walki od bójki, skory do korda, jak do siekiery, mazur — służył chętnie konfederacjom, legjonom, insurekcjom. Można kwestjonować celowość polityczną naszych powstań XIX w., ale sam fakt, że stać było szlachtę mazowiecką na ofiarne popędy patrjotyczne, świadczy o jej bogactwie.

Stałość i żarliwość zasad wyraziła się u szlachty mazowieckiej w jej przywiązaniu do katolicyzmu. Ona była twórczynią dwu cudownych twierdz życia religijnego Polski—w Częstochowie i Wilnie i stróżem była wiecznego ognia przed obrazami Królowej Korony Polskiej. Szlachta mazowiecka posunęła Polskę głęboko na wschód i ocaliła charakter katolicki państwa. Przenosząc do siebie stolicę, zapewniła państwu mocne oparcie w swej żywotności biologicznej.

Mazowsze pod względem agrarnym należy i teraz jeszcze do najzdrowszych ustrojów gospodarczych. Jeśli za normę Mazowsza weźmiemy dzisiejsze województwo warszawskie, to zobaczymy, że tutaj teraz jeszcze przeszło połowa właścicieli rolnych i ziemi należy do kategorji gospodarstw średnich, od 5 do 100 morgów, co z własnością większą (ponad 100 morgów) uczyni 85% całości. Na proletarjat rolny (do 5 m.) pozostaje jakieś 15%, podczas gdy w woj. krakowskiem mamy takiego drobiazgu około 40% [6]).

Wśród tych średnich rolników Mazowsze liczyło znaczniejszą niż gdziekolwiek liczbą drobnej szlachty, stanowiącej doskonały materjał do kształcenia, zdatny do wszelkich prac i odpowiedzialny. Mazur w niepozornej formie mieści bogatą treść i dużą skalę możliwości rozwojowych. Cechuje go realizm praktyczny i solidny instynkt społeczny.

Dla zrozumienia Norwida przyjrzeć się trzeba szlachcicowi mazowieckiemu, jak wielkie ma on ambicje społeczne. Przeszedł specjalną szkołę w rzeczpospolitej szlacheckiej. Równy wojewodzie teoretycznie, musiał dobrze zabiegać, aby go życie nie zepchnęło na poziom chłopski. Nie mogąc do-

[6]) Por. „Bilans gospodarczy 10-lecia Polski odrodzonej“, Poznań 1929, t. I.

być się samodzielnie na wierzch, czepiał się pańskiej klamki. Cała pozycja jego społeczna zawisła od papierka z dowodem szlachectwa, dającego mu wolność i perspektywy. Do dziś dnia, gdy faktycznie i prawnie szlachta zagonowa zrównana już z chłopstwem, szaraczka ogarnia trwoga na myśl, że ktoś go weźmie przez omyłkę za chłopa. Śmieją się z ludu, napływającego do miast, że mu się w głowie przewraca, że każdy chciałby panem być, w biurze pracować. Tymczasem to jest szlachecki trening, instynkt szczeblowania, uciekania z nizin społecznych, obawa zdeklasowania: instynkt w zasadzie dodatni. Czemże innem jest owo legitymowanie się Norwida z herbu i dyplomów? Wielkopolanin ma ambicję zbogacenia się, Małopolanin robienia karjery służbowej; Mazurowi chodzi o szczebel społeczny, choćby bez korzyści materjalnej.

Idąc dalej do sfery życia umysłowego i uczuciowo-estetycznego, dojdziemy, że główne momenty umysłowości Norwida mają sobie nadany kierunek i barwę przez wychowanie w atmosferze mazowieckiej. Na tem tle zarysowywała się jego oryginalna osobistość.

Nazywamy pozytywizmem i pracą organiczną to, co wyznawała elita warszawska w pewnym okresie XIX wieku. Ale kiedy na Mazowszu było inaczej? Wówczas tylko wysunięto te pojęcia, jako hasło, przeciwko romantyzmowi, ale na to nie trzeba było filozofji; była to próba formułowania się Mazowsza w swej świadomości. Jak wiemy, Norwid w swojej teorji pracy, a zwłaszcza w poglądach swoich politycznych stanowisko to znacznie wcześniej zaznaczył.

Mówiłem już w poprzedniej pracy o tem, że Norwid, jako artysta, najczystszy ton brał wtedy, gdy się zespalał duchem z twórczością ludu mazurskiego, kiedy wpadał w rytm życia swego przyrodzonego środowiska, bądź za prostą melodją mazura, bądź za myślą muzyczną Szopena. Skłonność do refleksji, będąca wybitnym rysem umysłu mazurskiego i zmysł społeczny tego ludu uwydatniły się nawet w Zygmuncie Krasińskim, który nie był przecie tak zżyty ze środowiskiem, jak Norwid. Te właściwości wyróżniły Krasińskiego z pośród wszystkich poetów romantycznych. Jego „Psalm miłości“, że poruszyła go myśl do głębi, wypadł cały w rytmie mazura.

Do czego umysł mazurski może dojść w kulturze ducha społecznego i myśli politycznej, mamy dowód w Romanie Dmowskim, reprezentującym najczystszy typ mazowiecki: dopiero pod koniec XIX w. w nim zakwitł i doszedł do pełni uświadomień zmysł społeczny ludu mazurskiego. Genjusz mazurski ma dużą skalę; Norwid rozpinał skrzydła na całą tę rozległość. Jednak było w nim coś osobliwego [7]).

4

Psychika mazurska ma dużą spójność, układa się jednolicie pod komendą zmysłu praktycznego i jasnej, realnej myśli. Wiele z tego miał Norwid w swoich wyobrażeniach o życiu i twórczości, jednak sam duszy swojej w tym rygorze nie trzymał. Widzimy z jego autobiografji, że jego rozdwajanie się na rzeczywistość i świat marzony szło z poza obrębu procesów twórczych wyobraźni poetyckiej, było właściwością jego natury i to od lat najmłodszych. W szkołach jeszcze uchodził za „książątko“ i widocznie ani wychowanie, ani 50 lat życia, pełnego ciężkich doświadczeń, nie zdołały tej natury unormować, skoro w swej autobiografji czuje potrzebę operowania urojeniem.

Dla siebie osobiście tworzył świat rojony i ten pragnął ludziom zasuggerować. Na uwagę z tego względu zasługują w przytoczonych urywkach robione umyślnie w tym celu skojarzenia własnej osoby z postaciami z szerokiego, wielkiego świata, jak z Byronem z powodu daty urodzin, lub z kardynałem rzymskim z okazji bierzmowania. Znajdziemy takich chwytów więcej, a wszystkie one świadczą o tendencjach wysuwania swej osobistości do jakiegoś „nieba“, ponad padół ziemski, do jakichś przestworów uniwersalnych, wobec których rzeczywistość domowa, warszawska, narodowa jest tylko punktem odbicia, materjałem do przerabiania dla „jaźni“, będącej z innego świata, tak właśnie, jak uczyła filozofja idealistyczna.

Autobiografję swoją pisał Norwid w pełni sił twórczych (51 lat). Od wczesnej młodości miał tę skłonność przymierzania „korony książęcej“ (*dux*). Insygniów książęcych rozsądek, czy rygorystyka społeczna nie pozwalają używać (nie używa się), zostaje jednak poczucie, że się jest czemś wyższem od środowiska, poczucie pewnego zabłąkania.

Ten rys psychiczny dobywa się na pierwszy plan w obliczu poety. We wczesnych poezjach jego widzieliśmy, że myśl jego, że jego jaźń — zabłąkane są na ziemi; zadaniem ich jest przerastać rzeczywistość na użytek świata innego—idealnego.

Właściwością Norwida jest niepokój, prący do ruchu przed siebie na podbój nieznanego świata, bez oglądania się poza siebie. W całej jego puściźnie pisarskiej nie znajdziemy wzmianki o tem, co przeżył dodatnio na łonie rzeczywistości. Z przeszłością łączą go tylko tradycje intelektualne, uczuciowych śladów przeżycia osobistego nie znajdziemy. Uczuciami nie wiązał się, pamięcią do porzuconych w dzieciństwie miejsc i ludzi nie wracał. Trudno nie widzieć oschłości w tem miejscu, gdzie poeci normalnie chowają we wspomnieniach skarby uczuć. U Norwida kompleks uczuciowy—jeśli wolno tak się wyrazić — przesunięty jest od instynktów—ku intelektowi. Siłą wyobraźni mocno emocjonalnej, wiedzie swój ród imaginacyjnie — nie tak jak było, ale tak, jak powinno było być. I w jego estetyce pięknem nie to jest, co się podoba, lecz, co pięknem być powinno. Wszystko w życiu Norwida będzie nie tem, czego oczekiwał i szukał, wszystko będzie jednym zatargiem dedukcji ideowej z rzeczywistością. „Szedł szybko. Wyglądał, jakby śpieszył do chóru Derwida, tylko mu harfy brakło. Broda rozwiana, wzrok w nieskończoność rzucony, albo w siebie. Nikogo nie widział. Nie wiem, dokąd szedł, ani po co“...[8])

Oto ostatnie zdjęcie migawkowe Norwida z czasów, gdy dochodził do swej mety.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[7]) Na związek, jaki zachodzi między literaturą warszawską a charakterem mazurskim z rasy, zwrócił uwagę Al. Tyszyński w „Amerykance“, a po nim Bron. Chlebowski (Pisma, t. I). Pod wrażeniem lektury Norwida pisałem o mazurskim jego charakterze w r. 1929 w „Kurjerze Poznańskim“ nr. 370 (Mazurska idea pracy), oraz o wpływach środowiska warszawskiego w tymże roku nr. 448 i 582. Na tę drogę wszedł Stan. Cywiński, ogłaszając w r. 1931 w „Myśli Narodowej“ swój interesujący szkic: „Z dziejów walki Mazurów o stolicę“ nr. 12 i 13.

[8]) Mieczysław Genjusz w liście do Z. Przesmyckiego. „Chimera“, VIII, 425.

NA WIDOWNI

O Młodych, Szczrbcu i o tem, że „Idea nie przeminie".

ZA KILKA DNI obchodzić będziemy czternastą rocznicę odzyskania niepodległości. W życie Polski wkracza pokolenie, które całą naukę swą, od pierwszych liter abecadła, otrzymało we własnem państwie, które lat przed wojną światową nie pamięta zupełnie, a wojnę samą już z mglistych tylko i ułamkowych wspomnień najwcześniejszego dzieciństwa. Pokolenie z istoty rzeczy wolne od tych wynaturzeń psychicznych, które niewola, jak każdy wogóle stan nienormalny, musiała w poprzednich generacjach wytworzyć. Jakież ma ono cechy odrębne, jakie są najbardziej znamienne rysy jego duchowego oblicza?

Jest jednolite. Gdy w pokoleniu starszem rozłam wewnętrzny sięgał niezmiernie głęboko, gdy w najbardziej podstawowych sprawach nie potrafiło ono zdobyć się na wspólne stanowisko, prowadząc w latach 1914 — 18 dwie nawzajem wykluczające się polityki, albo tocząc spór zażarty na temat: „państwo narodowe, czy federalizm?", młodzi są na podziw jednorodni w całej swej zasadniczej postawie duchowej, w swoich instynktach, ideałach, dążeniach. Zapowiada to, za lat kilkanaście, o wiele większą, niż dziś, zwartość duchową narodu, a razem z tem większą siłę, większą energję twórczą i odporność. Zastanawiające jest, jak dalece te same prądy ideowe pociągają za sobą większość młodzieży uniwersyteckiej na zachodzie i wschodzie Rzplitej, w Poznaniu czy w Wilnie i Lwowie, zadziwiające jest, jak żywe zrozumienie znajdują hasła młodzieży inteligenckiej wśród młodszego pokolenia warstw ludowych, gdzie w generacji poprzedniej tak często jeszcze spotyka się zastarzałą nieufność stanową, obojętność dla spraw ogólniejszych i ciasny, klasowy egoizm.

Jest karne. Samorzutnie skupia się w organizacji hierarchicznej, opartej na posłuchu dobrowolnym, boć nie rozporządzającej żadnemi sankcjami karnemi, fizycznemi czy materjalnemi środkami przymusu. Czasy niewoli z konieczności anarchizowały psychikę zbiorową, wyzuwały ją z instynktów obywatelskich, krępując lub wprost udaremniając swobodne stowarzyszanie się, odzwyczajając od rozróżniania między prawem a gwałtem, skoro władza zaborców nad ujarzmionym narodem jedynie przy pomocy korrupcji i postrachu uzyskać mogła współpracę i posłuszeństwo dla swych zarządzeń. Godny uwagi jest w najmłodszem pokoleniu Polski niepodległej ów żywiołowy pęd do zrzeszania się, owa karność, skrupulatna choć bezinteresowna wobec statutów swych i zwierzchników organizacyjnych, owa niechęć do chodzenia luzem, która sypkie, rozproszkowane społeczeństwo czyni żywą, organicznie zespoloną jednością.

Jest religijne. Religijność dzisiejszej młodzieży, w zestawieniu z pokoleniem z przed lat piętnastu czy dwudziestu, jest faktem tak bijącym w oczy i tak przez nikogo nie zaprzeczanym, że już nawet zbędne jest dłużej się nad tą rzeczą rozwodzić. Hasło, że „zorganizowany naród nie może tolerować, ażeby jego wiara była przedmiotem ataków" szereguje dziś dziesiątki tysięcy Młodych. Nie pozostanie to napewno bez wpływu na typ obyczajowy i na ducha moralnego czasów które nadchodzą.

Wierzy w wartość krwi polskiej i dumne jest ze swej polskości. Wskażę na jeden przykład. Przed laty kilkunastu i kilkudziesięciu, w sferach inteligenckich, zwłaszcza t. zw. „postępowych", nie uchodziły bynajmniej za rzecz niewłaściwą małżeństwa mieszane polsko-żydowskie. Pośród głośnych osobistości doby dzisiejszej wielu wskazać można ludzi, których nazwiska brzmią z polska, a jednakże będących mężami lub synami żydówek. Rosnąca fala dumy narodowej, wzbierającej w duszy pokolenia, wychowanego w niepodległości, każe dbać o czystość polskiej krwi, polskich cech rasowych, wierzyć w wartość typu psychicznego i fizycznego Polaka i Europejczyka i nie dopuszczać do zdegradowania go przez połączenie z typem obcym, nieeuropejskim, żydowskim. Ta sama duma narodowa przejawia się w całym wogóle stosunku do polskiej cywilizacji, w dbałości o nieskażenie jej pierwiastkami obcemi, w upodobaniu w jej rodzimości, w przywiązaniu do odwiecznych, tradycyjnych podstaw, na których jest zbudowana. Snobizmowi mody międzynarodowej coraz odważniej przeciwstawia dostojność narodowego obyczaju. Zapowiada okres twórczości własnej, niepożyczanej, z głębi ducha polskiego wydobytej i będącej nieskrzywionem jego zwierciadłem.

Łaknie wielkości. Ma dla Polski ambicję, by była Wielką Polską, świadomie zwraca się ku wspomnieniom potęgi i chwały, których symbolem pozostanie na zawsze zwycięski miecz Chrobrego.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W „Gazecie Warszawskiej" (nr. 334) przeczytać można było następującą wiadomość, powtórzoną za prasą pomorską:

„Ksiądz wikary Lewańczyk w Wielu otrzymał ze starostwa chojnickiego mandat karny, skazujący go na 1 dzień więzienia lub 20 złotych grzywny, gdyż „w dniu 2.10.32 r. w Wielu, idąc na zebranie Stronnictwa Narodowego miał na piersiach w miejscu widocznem przypiętą odznakę (szczerbiec) organizacji O. W. P., która była przepasana czarną tasiemką".

Przeciw temu orzeczeniu ks. Lewańczyk wniósł odwołanie".

„Naszemu Przeglądowi", „Gazecie Polskiej" i innym dziennikom, domagającym się najenergiczniejszego zwalczania Obozu Wielkiej Polski, wskażę na pewien postulat, który powinny jaknajrychlej wysunąć. Jest w katedrze poznańskiej, w t. zw. złotej kaplicy posąg podwójny, przedstawiający w śpiżu odlane postaci Mieczysława I i Bolesława Chrobrego. Pozornie niema w tem nic „antypaństwowego". Ale Bolesław Chrobry stoi, wspierając się na mieczu, powiedzmy odrazu całą prawdę—na Szczerbcu... A przecież do katedry uczęszcza młodzież, nawet szkolna! Zwiedzają ją wycieczki z całego kraju. Czy nie należałoby jednak jakoś tego Szczerbca usunąć, albo przynajmniej zasłonić, bo, bądź co bądź, takie widoki, zwłaszcza wśród młodych, budzą nastroje...

— — — — — — — — — — — — —

Aktualny cytat z Zygmunta Krasińskiego („Przedświt"):

„Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku,
Lecz Idea nie przeminie!"

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

CHARATERYSTYCZNE TO DLA NASZYCH STOSUNKÓW, że gdy przed kilku miesiącami obiegać zaczęły pogłoski o zamierzonem jakoby ograniczeniu autonomji uniwersytetów, półurzędowa „Gazeta Polska" uznała za stosowne— zaprzeczyć. Pewnej niedzieli (w lutym b. r.) oświadczyła mianowicie, że rozpowszechnianie takich pogłosek to „półprzytomne miotanie się w przystępie ostrego szału". Powaga i prawdomówność tego oświadczenia szczególnie uwydatniły się w perspektywie dalszych kilku miesięcy. Taż sama „Gazeta Polska" (z ubiegłego czwartku, 27. X) wydrukowała wywiad z ministrem oświaty Jędrzejewiczem, informując ogół o szczegółach zamierzonej „reformy", mającej zniekształcić jedną więcej w Polsce tradycję ogólnoeuropejskiej cywilizacji. Zawarte w wywiadzie informacje nie były zresztą wyczerpujące. Minister podniósł np., że interesy nauki dostatecznie zabezpieczy... swobodny wybór dziekana przez wydział, że więcej — interesy nauki nie wymagają. W analizie pominął drobną okoliczność, że w myśl nowego projektu ministrowi przysługiwać ma prawo mianowania i usuwania profesorów wedle uznania. Nie wyjaśnił, jak wolny wybór dziekana zagwarantuje interesy nauki, jeśli wybierać się go będzie z grona dalej od nauki stojących nominatów, celujących za to w posłuszeństwie. Roimy fantastyczne przypuszczenia? A czy nie godzien uwagi jest fakt, że minister, który pozbawia uniwersytety autonomji, z kwalifikacyj naukowych mógłby być — nie profesorem-specjalistą, lecz raczej urzędnikiem w kwesturze? Trudno się dziwić, że ministrowi, który tak wżył się w potrzeby nauki, cała walka o autonomję wyższych uczelni wydaje się niezrozumiałym objawem złej woli. O cóż tu chodzi? Przyznaje, że łatwo mu będzie „przejść do porządku dziennego nad złą wolą i nieuczciwością opozycji politycznej, która napewno z całej sprawy zrobi jeszcze jedną rozgrywkę ze zwalczanym przez siebie Rządem".

WIERZYMY MU CAŁKOWICIE. W oczach kierowników oświecenia publicznego w Polsce autonomja uniwersytetów nie jest bynajmniej cenną tradycją kulturalną. „Sanacja", której główny wysiłek — to próba odeuropeizowania państwa i wyplenienia tradycyj kulturalnych dawnej Polski, bez wahania podejmuje „reformę" na tem polu...

Jeśli ma być w dziele jakaś konsekwencja, to skoszarowanie nauki będzie tylko początkiem akcji. Zerwaniu z tradycją kulturalną Zachodu powinny towarzyszyć i zmiany zewnętrzne. Taki dziedziniec bibljoteki jagiellońskiej, albo mury uniwersyteckie w Wilnie — już same kształty architektoniczne zbyt silnie świadczą o łączności naszej z Zachodem i przypominają, jaki duch za Jagiełłów i Batorych zorganizował w Polsce szkolnictwo wyższe i postawił dla niego budynki. Przebudowa w stylu koszarowym niewątpliwie stanie się pilnym postulatem chwili. Jeśli niezbędne kredyty znajdą się szybko, czyn Państwowotwórczy obecnej doby znajdzie harmonijny wyraz w odpowiednim symbolu architektonicznym. Będzie to zarazem ogólny wyraz stosunku ducha obecnego *régime*'u do odziedziczonych przez społeczeństwo tradycyj dawnej Polski. Ma się rozumieć, najcenniejszych. Tradydycje „bandy albeńskiej" nie są wytępione. Najzawzięciej trwoni się dziś ze spadku po dawnej Polsce to, co największą przedstawia wartość obywatelską: wszystkie instynkty, organizujące naród w mocną, trwałą wspólnotę; wszelki praktyczny wyraz zaufania wzajemnego w życiu publicznem; poczucie szlachetnej dumy narodowej; dobrą wolę; godność i niezależność osobistą... Na to wszystko w obliczonym na dziś schemacie „państwowościowym" niema miejsca. Na zupełnie innych podstawach buduje się „Nową Polskę"; zaś wartości, które tamta przekazała, traktuje się jak coś nierealnego. A jednak, mimo sztucznego rozbijania jedności narodowej i kruszenia tradycyj cywilizacyjnych dawnej Polski, wartości tych zniszczyć nie można z dnia na dzień. Czy to złudzenie? — Że i teraz zerwanie z tradycją europejską egzystencji uniwersytetów, szkodliwe przecież, jednak wydaje się jakieś nierealne?

NAUKA I LITERATURA

WYPISY B. SUCHODOLSKIEGO

NOWOŚCIĄ w literaturze polskiej jest ukazujące się teraz w handlu księgarskim dzieło Bogdana Suchodolskiego pt. „Ideały kultury a prądy społeczne". Wypisy z dzieł myślicieli polskich XIX i XX wieku. (Z 16 portretami. Warszawa 1933. Nakładem „Naszej Księgarni". S. 519 i 8 nl.).

Mieliśmy dotąd wydawnictwo na wypisach i biografjach oparte: „Sto lat myśli polskiej" (9 tomów). Gdyby nawet z czasem było ukończone, nie spełni ono tego zadania, którego dokonał w jednym tomie Suchodolski. W wydawnictwie tem bowiem zaledwie trochę miejsca poświęcono filozofji, są to właściwie wypisy do literatury pięknej. Suchodolski ograniczył się ściśle do ideologji konstruktywnej w zakresie pojęć o kulturze i cywilizacji oraz wykładu idei zasadniczych, przyświecających poszczególnym prądom (ruch katolicki, konserwatyzm, radykalizm, nacjonalizm, socjalizm i t. d.). Przyczem Suchodolski ugrupował wykłady według systemu tych idej; książka więc daje jasny obraz całości poglądów na życie ideowe społeczeństwa, podczas gdy „Sto lat myśli" nie mają układu systematycznego, nawet chronologicznego, oparte są bowiem na zestawieniu autorów.

„Okres niewoli — wyjaśnia Suchodolski w przedmowie — zostawił nietylko narodowe relikwie. Zostawił spadek myśli, reprezentowanej przez przeszło stu wybitnych, a na wpół zapomnianych pisarzy, spadek, który jest dla społeczeństwa zobowiązaniem i który dlatego nie może w niezależnem państwie kryć się w niedostępnych salach bibljotek".

Wielką jest zasługą Suchodolskiego, że tego udostępnienia się podjął i że zrobił to tak znakomicie. Suchodolski uwzględnił nietylko „fachowych" filozofów, dał głos i tym, którzy „będąc uczonymi, artystami lub działaczami, nie wyrzekali się teoretycznej refleksji nad życiem i własną pracą. Nie powinno więc nikogo dziwić, że nazwiska takie, jak Mickiewicz, Goszczyński, Krzemiński, Witkiewicz, Orkan, Żeromski i in. znajdują się na kartach książki, będącej wyborem z pism myślicieli".

Jaka jest idea tej pięknej książki? Posłuchajmy przedmowy:

„Żyjemy w trudnych czasach. Nigdzie w Europie, niemal nigdzie na świecie niema spokojnego zakątka, a kryzys, który jeszcze przed kilku laty wydawał się urojeniem zmęczonej wojną wyobraźni, opanowuje nieubłaganie wszystkie dziedziny cywilizacji. Alternatywa stoi przed nami taka: albo człowiek potrafi wprowadzić w zawikłany chaos życia ład sprawiedli

wego, opartego na najgłębszych moralnych wartościach współżycia — albo wynikające z tego chaosu ślepe namiętności i barbarzyńskie, krótkowzroczne metody naprawy zniszczą i zburzą europejską cywilizację. Stąd pytanie: jak zorganizować życie zbiorowe, by nie zaprzeczało ono moralnym wartościom, jak się uchronić od barbarzyństwa, jak wprowadzić ów ład, zapewniający te dwie identyczne właściwie rzeczy: sprawiedliwe współżycie i swobodny rozwój kultury? Oraz czem być może i powinno w tych warunkach wychowanie? Oto jest ideowa oś tej książki!"

Podział książki jest następujący:

1) Co to jest kultura? Tutaj mieszczą się rozprawy: A. Górskiego, E. Abramowskiego, A. Mickiewicza, St. Brzozowskiego, J. Gw. Pawlikowskiego, Z. Wasilewskiego.

2) Czynniki rozwoju i sposoby zorganizowania życia zbiorowego. Tutaj: A. Cieszkowski, L. Krzywicki, E. Abramowski, St. Brzozowski, St. Szczepanowski, S. Krzemiński Z. Wasilewski, Hoene-Wroński.

3) Konserwatyzm i radykalizm: I. S. Estreicher, Ludwik Górski, W. L. Jaworski, S. Koźmian, Z. Helcel. II. S. Żeromski, Baudouin de Courtenay, A. Świętochowski, H. Kamieński, E. Abramowski.

4) Katolicyzm: M. Morawski (ks.), H. Kajsiewicz, Jacek Woroniecki, T. Kubina. Krytyka katolicyzmu: S. Goszczyński i S. Brzozowski.

5) Nacjonalizm: K. Libelt, Z. Łoziński, E. Majewski, J. L. Popławski, Z. Wasilewski, S. Grabski, R. Rybarski, R. Dmowski, Fl. Znaniecki. Krytyka nacjonalizmu: J. Rostworowski, S. Krusiński.

6) Socjalizm: S. Worcell, Br. Siwik, T. Filipowicz, K. Krauz, B. Limanowski, S. Brzozowski, M. Niedziałkowski, L. Krzywicki. Krytyka socjalizmu: Abramowski, Majewski.

7) Elementy ideologji ludowej: K. Libelt, J. K. Potocki, W. Jaworski, S. Goszczyński, S. Witkiewicz, F. Bujak, W. Orkan, J. Niecko.

8) Zamknięcie: A. Górski, F. Znaniecki, W. Makowski, J. Piłsudski.

Dobranie tych autorów w takich urywkach, któreby nie tylko formalnie, ale i rzeczowo pouczyć mogły o stanowisku autora, wymagało wielkiego trudu, a przedewszystkiem doskonałego znawstwa przedmiotu. Nikt lepiej od Suchodolskiego nie kwalifikował się do tej pracy, jest on bowiem znakomitym znawcą metod badań humanistycznych, historykiem literatury, socjologiem, a zarazem wychowawcą.

Dowiadujemy się z przedmowy, że autor ma już gotowy drugi tom wypisów: „Kultura i osobowość" (religja, filozofja, etyka, sztuka, charakter polski). Obyż znalazł nakładcę jaknajprędzej!

BC.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Na niwie poetyckiej ukazały się dwa godne uwagi ze względu na postawę męską i sztandarowość haseł utwory Bogdana Karpackiego. Jeden tomik nosi tytuł „Marsz po próchnie", drugi — „Ludzie w hełmach". (Skład w Domu Ks. Pol.).

Jednocześnie wyszła tego autora książeczka, która w swej treści jest manifestem poetyckim. Jest to bardzo mocna i ostra reakcja przeciwko „Skamandryzmowi" kabaretowemu szkoły żydowskiej. Broszura nosi tytuł: „Zmierzch fetyszów". Autor wypowiada walkę o odrodzeniu poezji pod hasłami: 1) zerwanie z efekciarstwem, 2) oparcie twórczości na przeżyciu, 3) zamiast błyskotliwości siła i szczerość, 4) przepojenie twórczości sprawami życia, 5) prostota. (Skład w Domu Ks. Pol.).

*

Rzadko odzywająca się poetka, M. Czerkawska, dała znać o sobie wydanym niedawno tomikiem p. t. „Sieci na wietrze" (Krak. Spółka Wydawnicza). Z czterech mieszczących się w nim seryj dwie poświęcone są polskiemu morzu, które poetka naprawdę kocha i umie przedstawiać. Za serce chwytają obrazki, wzięte z życia kaszubskich rybaków, bezpretensjonalne i bezpośrednie, a jakże wysoce artystyczne! Zbratanie się z żywiołem morskim, a jednocześnie walka z nim jest tego życia główną treścią; wiedzą o tem nietylko krzepcy, z bronzu jakby rzeźbieni wioślarze, lecz nawet ta mała Gosia, co kiedyś wyrośnie na matkę rybakom. Siła i ufność są tonem głównym w pieśni codziennej tych pracowników morza — ale są i chwile takie, gdy „spazm podchodzi do gardła": to chwile, gdy rybaczki modlą się za dusze topielców. Osnuty na tem tle utwór („Nieszpory") może iść w zawody ze słynną sceną „wypominków" żeglarskich w „*Captains Courageous*" Kiplinga. Nietylko ludzi morskich, ale i morski żywioł poetka głęboko wyczuwa i rozumie. Taki rzewny wiersz o trzech falach lub wiersz o huczącej boi — należą do najlepszych utworów marynistycznych, na jakie dotąd zdobyła się polska poezja. Tony głębokiej refleksji (o morzu nie godzi się pisać.. płytko), nagłe i mocne konflikty, barwy posępne i widoki groźne przeważają w owej serji; ich pogodnym i roześmianym kontrastem jest wdzięczny żarcik „Swojskość obroniona". Śliczne są wiersze poświęcone dzieciom (rzecz charakterystyczna, że poezja najnowsza idzie naprzekór „regulacji potomstwa" i w niezliczonych utworach raduje się dzieckiem); poetka subtelnie wyczuwa i odtwarza te najważniejsze w życiu dziecięcem chwile, jakiemi są: pierwsze wrażenie wzrokowe, pierwsze gesty świadome, pierwsze wyrazy, pierwsze kroki—no i pierwsze bucięta; rozumie i dziecięcą zabawę i dziecięce szczęście, przebaczające nawet chwilowym smutkom. Cykl „Roboty" wyższy jest od analogicznych cyklów Miecz. Branna czy innych. Niema w nim rzemieślniczości, jest za to ruch i żywe tętno pracy, co więcej, w każdym z „martwych" przedmiotów (ekspres, maszyna do szycia, motor, awionetka, fortepian) jest jakoby dusza i to dwojaka: samego przedmiotu oraz poetki. Tak ze względów artystycznych jak i dla bogactwa i piękności swych myśli tomik ten godzien jest pochwały. (J. B.).

*

Propagator idei mesjanistycznej Hoene - Wrońskiego, Jerzy Braun napisał powieść p.t. „Cień Parakleta". Nakładem księg. F. Hoesicka, wyszła obecnie część pierwsza tej powieści „Wiktor".

*

Kto jak kto, ale Giovanni Papini powołany był z pewnością do napisania biografji św. Augustyna. Nietylko dlatego, że jest znawcą wybornym dziejów, że jako mistrz stylu i głęboki a wszechstronny myśliciel piastuje dziś w literaturze włoskiej stanowisko poczęści podobne temu, jakie dzierżył ongi w literaturze rzymskiej Augustyn; nietylko i dlatego, że ukochaniem szczególnem obdarzył miasto Medjolan, które tak ważną w życiu Augustyna odegrało rolę. Najważniejszym jednak powodem było to, że samo życie Papiniego było w niejednem podobne do życia biskupa Hipponu. I on wszak z libertyna, sceptyka i odszczepieńca stał się gorliwym wyznawcą Chrystusa, głosicielem moralności i wiary. Jest to wogóle zjawiskiem częstem u ludzi nawróconych, że lubią rozczytywać się w życiorysach i dziełach innych konwertytów. Jak starszy nieco od Papiniego Joergensen poszedł śladami nawróconego hulaki, Franciszka Bernadone z Assyżu, jak św. Augustyn wciąż powracał do lektury listów św. Pawła, tak Papini w dziełach św. Augustyna—nadewszystko w jego „*Confessiones*" — znalazł zwierciadło duszy własnej, wzór owych wstrząsów i walk, jakie sam przechodził przez znaczny okres swego żywota. A walka to była dwojaka, rzec by można duchowa i cielesna. Prócz myśliciela, mędrca, był przecie w św. Augustynie i człowiek — i to człowiek tak wyrazisty, że nawet w nowszych dziejach mało równych jemu pod tym względem znaleźć można. Gorąca, afrykańska krew syna Moniki dawała podnietę wielu żądzom; wielbiciel wergiljuszowego „romansu Dydony" sam po dwakroć, jak mityczny Eneasz, stał się przyczyną głębokich tragedyj serca niewieściego. Tragedje te sam też przeżył w sercu własnem i tem większe były ofiary, jakie złożył dla sprawy, która mu stała się naczelną sprawą życia: dla Boga i duszy. Ogrom ascezy, którą sobie narzucił ten krewki człowiek, ogrom zaparcia się i poświęcenia, jakie wykazał ten człowiek genjalny, cieszący się niezwykłą sławą i za sławą za młodu goniący—to temat, którego nie można należycie oddać lada piórom. Dlatego cieszyć się należy, że podjął się go — i wywiązał się z niego—Papini. Przekład polski tej biografji (Wyd. Naukowo-Literackie, Kraków), dany przez p. Antoninę Brzozowską, jest gładki i poprawny; szkoda tylko, że tłumaczka w mylnej formie podała niektóre imiona greckie: Karneadesa, Gelozjusza itd. (J. B.)

*

Jedyne w swoim rodzaju dzieje miłosne przedstawia książka Giorgio Biano „Jak kochano przed stu laty", wydana w przekładzie Zuzanny Rabskiej przez warszawską firmę „Bluszcz". Jedyne z całego szeregu powodów. Przedewszystkiem oboje kochankowie, Robert Browning i Elżbieta Barrett, byli poetami, wysoko wyrastającymi ponad przeciętną

ność. Po drugie miłość miała charakter wyjątkowo uduchowiony; istniała może przed osobistą znajomością, gdy oboje czytali jedynie swe utwory; Robert był młodszy od Elżbiety, a ta w chwili poznania go dochodziła do czterdziestki i ustawicznie chorowała wskutek wypadku, jakiego doznała we wczesnej młodości, nie odznaczała się zaś nigdy urodą. Po trzecie, ojciec Elżbiety, dziwak i despota domowy, był zasadniczo przeciwny małżeństwu swych dzieci; stąd kochankowie musieli ukrywać się przed nim, a chcąc połączyć się dozgonnym węzłem, odważyli się na krok, jak na wczesną epokę wiktorjańską, niezmiernie kompromitujący, na tajemny ślub i ucieczkę; nie mogli też pozostać w Anglji i schronili się na ziemię włoską. Dalej kilkunastoletnie ich pożycie było jedną sielanką i zostało uwiecznione w poezji, szczególnie przez Elżbietę, przepięknym cyklem „sonetów z portugalskiego“ — tytuł stanowił wstydliwą, a niewinną mistyfikację. Wreszcie oboje Browningowie gorąco przejęli się ideałami wolnościowemi i włoską walką o niepodległość i wywarło to silny wpływ na ich twórczość; znowu należy wymienić przedewszystkiem poemat Elżbiety „Okna pałacu Guidi“.

Dzieje romantycznego, potężnego, a nieskalanie czystego i wzniosłego pod względem etycznym uczucia opowiada autorka z wielką wnikliwością psychologiczną i wdziękiem, opierając się prawie wyłącznie na korespondencji obojga Browningów. Książka jej wysuwa się na czoło utworów, poświęconych ich stosunkowi (jak grana zeszłego roku w Londynie sztuka „Barrettowie z Wimpole Street“ lub pretensjonalny szkic Filipa Guedallah „Andromeda z Wimpole Street“). Przekład p. Rabskiej odznacza się doskonałym, a subtelnie cieniowanym językiem, który pozostaje w wielkiej harmonji z przedmiotem. Książce dodają uroku nastrojowe ilustracje p. Bobińskiego. Wogóle zewnętrzna forma jest wysoce artystyczna. (W. T.).

*

Nakładem Gebethnera i Wolffa ukazała się w przekładzie głośna powieść Fr. Mauriaca „Kłębowisko żmij“. Przekładu dokonał znany krytyk J. E. Skiwski, on też dodał do książki w przedmowie studjum o autorze i przełożonej powieści.

*

We Lwowie ukazał się zeszyt pierwszy (październik 1932) miesięcznika, poświęconego życiu, kulturze i sztuce p. t. „Kultura Lwowa“. Redaktorem pisma jest lekarz dr. Kazimierz Lewandowski, kierownikiem artystycznym prof. Antoni Markowski. Prenumerata zł. 1.50 kwart. Lwów, plac Halicki 7.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„Francja posiada wreszcie swego Conrad'a“ — tak się wyraził o młodym autorze paru powieści „morskich“ znany współpracownik „*Le Temps*“ Pierre Mille. Tym francuskim Conrad'em ma być p. Edward Peisson, autor wydanej świeżo u Grasset'a powieści p. t. „*Parti de Liverpool*“. Powieść tę czytaliśmy niedawno, gdy pod innym tytułem („*Première Traversée*“), wychodziła w „*Revue des deux Mondes*“ i śmiało możemy stwierdzić, że autorowi jej daleko jeszcze do Conrad'a. Niemniej jest to rzecz pisana przez kogoś, kto odczuwa groźną potęgę oceanu i umie przedstawiać tragedje, jakie się dokonywają często na jego bezmiarach. (W. J.)

*

U tegoż Grasset'a wyszedł świeżo czwarty tom definitywnego wydania „Wspomnień“ Leona Daudet'a, zatytułowany „*Salons et Journaux*“ (str. 272). Mówi tu Daudet o tych wszystkich, których przez długie lata spotykał w paru znanych salonach Paryża, między innemi u pani de Loynes, znanej przyjaciółki J. Lemaitre'a. Przeciągają tu przed czytelnikiem szeregi, złożone z wybitnych jednostek: literatów, artystów, uczonych, polityków, których imiona rozbrzmiewały w życiu Paryża ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia oraz w okresie przed wielką wojną. Charakterystyki wszystkich tych osób są, jak zwykle u L. Daudet'a, nieszablonowe, dosadne i nieoszczędzające nikogo. Dużo w tem werwy i błyskotliwego dowcipu, sporo faktów, służących do lepszego poznania ludzi oraz epoki. (W. J.)

*

Interesujący zbiór szkiców literackich wydał Ch. Clerc p. t. „*Moins de cent ans*“ („Mniej stu lat“), w których mowa o wielu osobistościach ze świata literatury i sztuki, niegdyś głośnych, dzisiaj nieco zapomnianych, jak Emil de Girardin, Labiche, Eugenjusz Sue, Daumier, Gérard de Nerval i t. p. Przypominając Ponson du Terrail'a, poczytnego w swoim czasie autora przygód „Rocambole'a“, autor przytacza opinję o nim Prospera Mérimée. Znakomity autor „Carmeny“, pisał o nim do Stendhal'a w ten sposób: „Nikt nie opisuje tak zbrodni i morderstwa, jak on. Rozkoszuję się tem“. Jak tu więc dziwić się tłumom zwykłych czytelników, pochłaniających powieści kryminalne? (W. J.).

*

Emil Henriot jeden ze sprawozdawców literackich „*Le Temps*“, wydał tom nowel p. t. „*La Marchande de Couronnes*“. Zbiorek ten zawiera szereg bardzo pięknych utworów nowelistycznych, przypominających czasy, kiedy ten rodzaj uprawiany był z upodobaniem przez pierwszorzędnych artystów słowa. Wśród rzeczy zmyślonych, znajdujemy w zbiorku dwie historje prawdziwe: w jednej zawarł autor opowieść starego marynarza o spotkaniu statku angielskiego „Northumberland“, na którego pokładzie — było to po Waterloo — stał „Cesarz Napoleon, wpatrzony w słońce zachodzące na morzu“; w drugiej jest mowa o tem, jak 89-cioletni starzec, Lorenzo da Ponte, librecista Mozarta, spotkał się w Nowym Jorku w 1828 roku z trupą znanego śpiewaka Garcii, który tu występował w „Don Juanie“. Da Ponte uprosił ziomka, by pozwolił mu być suflerem na jednem z przedstawień arcydzieła Mozartowskiego, którego libretta był autorem. Wieczoru tego w roli Zerliny występowała córka Garcii, późniejsza słynna Malibran. Wszystko to opowiedziane z wdziękiem i owiane przenikliwą poezją. (W. J.).

ZE ŚWIATA SZTUKI

ZORGANIZOWANA przez IPS wystawa Podkowińskiego nie zgromadziła wszystkich dzieł artysty (dostępnych) nawet z Warszawy. Pokaz tedy ilościowo wypadł dość skromnie i nie przypomina widzowi, lub nie zaznajamia go — jeśli dotychczas nie znał — z wielu dziełami wybitnemi, charakterystycznemi dla malarza. Tego rodzaju *minus* niewątpliwie umniejsza znaczenie imprezy, a przedewszystkiem jej cele, cele wychowawczo-propagandowe. W umyśle szerokich mas, zwiedzających wystawę, wskutek takiego stanu rzeczy może powstać obraz fałszywie, bo niedołędnie malujący twórczość artysty. Na dobitek, zwiedzenia wystawy nie ułatwia katalog w ten sposób, jaki się zwykło praktykować w podobnych wypadkach. To znaczy nie zawiera nic — poza spisem obrazów, z podaniem dat powstania — ani przedmowy objaśniającej, ani króciutkiego bodaj życiorysu.

Sytuację polepsza poniekąd różnorodność zebranych dzieł, pochodzących z rozmaitych okresów czasu. A więc mamy tu obraz p. t. „W miasteczku“, niedatowany, lecz niewątpliwie wczesny, z zadatkami już wyraźnemi zerwania z ówczesnym konwencjonalizmem kolorystycznym. Wśród drobnych studjów olejnych znajdują się prace bezwątpienia jeszcze wcześniejsze od tej kompozycji rodzajowej. Z obrazów o dacie najpóźniejszej wiele nosi sygnaturę: 1892 rok (na płótnie często napis tylko 92), a więc wykonanych na trzy lata przed śmiercią. Z technik reprezentowane są niemal wszystkie: olej, akwarela, tusz, pióro, kredka i gwasz.

Podkowiński, który wraz z Pankiewiczem trafił w Paryżu na odkrywczy okres impresjonizmu, jak nikt inny, z tytułu swego temperamentu i uczuciowości, nadawał się do przyjęcia nowej wiary artystycznej. U podstaw bowiem impresjonizmu, jeśli pominiemy jego wartości formalne, leży bezpośredniość, impulsywność, zdolność utrwalania tego, co się narzuca jako pierwsze wrażenie.

Koloryt swój oparł Podkowiński na fundamentach podstawowych zasad nowego kierunku, to znaczy na rozłożeniu widma słonecznego na oddzielne kolory zasadnicze. Wskutek takiego założenia impresjonści używali barw czystych, nie złamanych, tak je kładąc, aby dopiero ich wibracja na płaszczyźnie płótna dawała efekt pożądany, odtwarzając kolor wyobrażanego tematu. Artysta wierny ogól-

nym wytycznym kierunku, dawał nieraz ujęcia kolorystycznie tak śmiałe, że dziś jeszcze, w zestawieniu z próbami malarstwa współczesnego, nie straciły nic ze swej świeżości. Dzisiejsi koloryści nie poszli właściwie dalej w odwadze barwnej interpretacji, są tylko bardziej wyrafinowani, używając kombinacyjnych tonów złamanych, uniezależnionych w swem istnieniu od natury, na której przy najśmielszej nawet wizji barwnej opiera się, bądź co bądź, impresjonizm.

Po przykład zestawienia impresjonizmu ze środkami malarstwa ostatniej doby nie trzeba sięgać daleko: dostarcza go ta sama wystawa, mieszcząca również zbiory prac dwu malarzy z Paryża, W. D'Erceville'a i R. Kanelby. Pędzel dziś zdaje się być w niełasce, w każdym razie jest rzeczą charakterystyczną, jak wielu artystów teraz używa szpachli (grzebienia nawet) byle nie pędzla. Jeżeli zaś dochodzi do głosu ten zasadniczy i w każdym razie zasłużony dla sztuki instrument, czyni to jakby wstydliwie, nie pragnąc nieledwie odkrycia swego udziału przy powstawaniu obrazu.

Uwagi powyższe dadzą się zastosować i do malarstwa obu Paryżan. Kanelba kładzie plamę szeroką, łączącą w sobie, zwłaszcza w portretach, drobniejsze odchylenia barwne, tak, że całość w kolorze nabiera charakteru syntetycznego. Dominuje gama, wahająca się między niebieskim, a fioletem. Portrety są najlepsze. Pozatem całość, kulturalna, nie wyróżnia się niczem bardziej godnem uwagi. D'Erceville ma technikę bardziej urozmaiconą, lubi kłaść farbę grubo i stosuje to konsekwentnie, przedewszystkiem w kwiatach. Kwiaty też artyście najbardziej się udają, w nich najudatniej zaznacza materjalność odtwarzanej rzeczywistości. Rysuje D'Erceville nietęgo. Koloryt ma ciepły.

*

Największa sala Instytutu została przedzielona na trzy części. W jednej z nich urządzono wystawę pośmiertną Tadeusza Noskowskiego. Zmarły był profesorem Miejskiej Szkoły Zdobnictwa. Zainteresowania badacza przeważały w nim nad temperamentem plastyka. Zwłaszcza chemja malarska była przedmiotem badań artysty. Pozatem Noskowski interesował się liternictwem i opracowywał przekład dzieła o liternictwie wiedeńskiego grafika Larrischa. Wystawa jego składa się z pejzaży, martwych natur i kilku projektów polichromji. W utworach tych Zmarły miał możność praktycznego wyzyskania rozległej swej wiedzy teoretycznej.

*

Najmniejszą salkę zajęła grupa akwarelistów. L. Adwentowicz, A. Kossowski, L. Pękalski, J. Sokołowski i M. Szulczewska. Pośród utworów, przeważnie dość nijakich, wyróżnia się kilka akwarel Pękalskiego. Mam na myśli kompozycje (np. nr. 96) z postaciami o ściszonym patosie antycznym. Pękalski chętnie klasycyzuje.

*

W gablotach pokazano medale i plakiety czeskich artystów. Pod względem smaku i kultury artystycznej, rzeczy te stoją na poziomie upodobań okresu, niezbyt dla sztuki zaszczytnego i odznaczającego się niezrozumieniem oraz nieposzanowaniem właściwości materjału. Natomiast technika medaljerów czeskich przedstawia się bez porównania lepiej..

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

SOBIESKI I WEYGAND

W ROKU bieżącym przypada rocznica 250-lecia Odsieczy Wiedeńskiej.

Dobrze się tedy stało, że w Anglji, nakładem firmy wydawniczej „Eyre and Spottiswoode", wyszła monografja jednego z najsympatyczniejszych i najpopularniejszych na Zachodzie bohaterów polskich, to jest króla Jana. Napisał ją J. B. Morton. Tytuł: *„Sobieski King of Poland"*.

Główny organ katolików angielskich *„The Universe"* daje o tej miłej nowalji taką recenzję:

„Dość łatwo było J. B. Mortonowi spostrzedz, że Jan Sobieski był jednym z wielkich bojowników chrześcijańskiej Europy. Rozumem i siłą charakteru przewyższał on swoich współczesnych, istotnie należąc nie do swego stulecia, ale do towarzystwa tej elity, która indywidualnem męstwem ocaliła Europę w wielkim kryzysie ataku niewiernych. Gdy czytamy tę książkę, wciąż przychodzą nam na myśl inni tego samego pokroju bohaterzy królowie. Sobieski pod Chocimem podobny jest do Izabelli, walczącej z przemocą Maurów; Sobieski idący na Turków, oblegających Wiedeń, przypomina Karola Wielkiego, idącego do Lombardji dla wyzwolenia papieża. Sobieski swobodnie rozprawiający o duszy z kapłanami jest tradycyjnym obrazem tego typu panujących, jakimi szczyci się Europa w osobach Ludwika Świętego lub króla Alfreda"...

Tak o Sobieskim piszą dziś w Anglji. Był on tam ongiś postacią znaną i miło zwaną. Istnieją śliczne sztychy angielskie, przedstawiające króla Jana. Wspominał o nim wielki poeta Milton...

Tymczasem zaś sama *Vindobona Liberata*, Wiedeń Uratowany nie bardzo jakoś się popisał w dowodach wdzięczności. Niema pomnika Sobieskiego w Wiedniu, niema Placu, niema ulicy, ani *„Ring*'ów", a co więcej, we wszystkich pracach historyków wiedeńskich o królu Janie stosunkowo bardzo mało, a natomiast bardzo wiele o... Księciu Eugenjuszu Sabaudzkim. Szykowny a komiczny ze swą olbrzymią peruką *Rittmeister* kawalerji wyrósł ni stąd ni zowąd na... Salwatora. Tego zaś, któremu strzemiona całowali wdzięczni Wiedeńczycy, a którego z balkonów obsypywały kwiatami wdzięczne Wiedenki („jakże mu pięknie z temi wąsami") starają się historycy urzędowi ukrywać w cieniu, jako epizod, jako sukurs, może ważny, ale niewygodny.

Będzie miała teraz propaganda polska bardzo wdzięczne zadanie w dobitny sposób przypomnieć Wiedeńczykom i przyjazd legatów do Warszawy („Królu ratuj Chrześcijaństwo") i bezinteresowny idealizm polskiego Bayarda i współudział Pomorzan w tej epopeji („Kaszuba pod Wiedniem" poety Derdowskiego) i *veni - vidi - vici* i modlitwę armji na Kahlenbergu i listy do Marysieńki d'Arquien z pola walki i namiot Kara Murstafy i... łącznie z tem wszystkiem pierwszą kawiarnię w Europie, założoną przez Polaka Kulczyckiego...

W każdym więc razie odsiecz Wiednia przez Polaków trzeba propagandowo mocno wyzyskać i nie dać się ubiec falandze niemieckich fałszowań historycznych. Wprawdzie potomek wyratowanego cesarza Leopolda, zaciekły *franc-maçon* Józef II nie bardzo ładnie nam się potem odwdzięczył, ale mniejsza z tem, pal djabli, Habsburgów już niema a my jesteśmy, więc na nas kolej. Wprawdzie *prestige*'owi i dumie wiedeńskiej trudno będzie przełknąć, że nie *„Prinz Eugen"*, ale polski szlachcic z Rusi Czerwonej wyratował i Austrję i Chrześcijaństwo, ale pod mocną presją prawdy historycznej jednak na tę koncesję zdobyć się muszą. W uroczystościach wiosennych 250-lecia w Wiedniu, Jan III i polska skrzydlata husarja figurować na planie pierwszym zapewne będą...

Przykład muszą sobie tym razem wziąć także z Polski.

I nam dość trudno było długie lata wykrztusić pewne prawdy z nie tak dawnej rzeczywistej rzeczywistości a jednak lojalnie, rzetelnie, po rycersku wreszcie *suum cuique* właśnie niedawno oddaliśmy.

Mamy tu na myśli uroczysty numer 193 „Polski Zbrojnej", wydany na dzień 14 lipca 1932, francuskiemu Świętu Narodowemu poświęcony i rewelacyjny. Rewelacją był ten jakiś nowy, pełny, dawno już na tem miejscu nie słyszany powiew serdecznej przyjaźni dla sojuszniczego narodu i armji

Nie sposób jest nie wyrazić przy tej okazji słów uznania dla kierownictwa „Polski Zbrojnej", że się tak w samą porę zdobyła na tyle samozaparcia z nadmiaru czy przerostu prestiżowych względów, ograniczając obligatoryjny,

oficjalny, koteryjno-lokalny *hero-worship* czyli „powiększanie olbrzyma“ do możliwego w danej konjunkturze *quantum*.

Najważniejsze atoli są w tem wszystkiem rewelacje majora B. Waligóry o współpracy oficerów misji francuskiej w przygotowaniach do walk o przedmieście Warszawy czyli do „Bitwy pod Warszawą“ i o ich później stałem współdziałaniu. Temat ten także poruszył tu major A. Przybylski, ale w dość płytkich wywodach, niepozbawionych t. zw. „partyjnictwa“. Natomiast major Waligóra daje czystą, destylowaną prawdę. Aczkolwiek mamy już kilka prac, dzieł i broszur o tej przełomowej chwili, to jednakże pewne momenty dość długo były niejasne i zatajane. Najbardziej miarodajne i rozstrzygające pozostanie to, co stwierdził sam generał Weygand trzykrotnie w rozmowie z dziennikarzem Gentym, w Krakowie (26. VIII) przed odjazdem oraz w odczycie w Brukseli: „zwycięstwo polskie“, przez „d o w ó d c ó w polskich i polskiego żołnierza osiągnięte“, „operacje wojskowe przez g e n e r a ł ó w polskich przeprowadzone“, „na zasadzie polskich planów operacyjnych“. Najważniejszy w tem jest nacisk położony na *pluralis* t. j. na dowódców, zaczem nie na jednostkę przez Boga wyjątkowo natchnioną i genjalnością strategiczną obdarzoną, ale na zespół wodzów polskich równomiernie ważnych, przy których w charakterze *conseiller technique* stał dobór świetnych i rutynowanych wojskowych francuskich.

W tej dziedzinie „Plutarch“ I-szej Brygady długo dawał folgę imaginacji panegirycznej, podczas gdy znów sprowokowani blagami dworaków antagoniści zadaleko posuwali się w przypisywaniu generałowi Weygandowi i planu operacyjnego i kierownictwa i samego zwycięstwa.

Ze szkicu majora Waligóry dowiedzieliśmy się przedewszystkiem, ilu to wyższych wojskowych francuskich dopomagało wonczas naszym dowództwom. Po raz pierwszy obok nazwisk już znanych, jak gen. Henrys, lub gen. Spire, występują zasługi gen. Charrion szefa inż. wojskowej, gen. Al. M. Mourrnan (Ostrów), gen. Bilotte (Radzymin) dalej doradcy technicznego szefostwa lotnictwa, pułk. de Vergnette (obok kap. Ollivain i kap. Pereta), pułk. Baucilhona, autora memorjału p. t. „Uwagi ogólne o obronie Warszawy“ (5.9.1920), pułk. Eug. Renoux, pułk. Mare (który uratował życie por. Zdzisł. Kowalewskiemu, autorowi broszury „Zwycięzcy“) i pułk. Charpy, doradców technicznych przy czołgach, dalej majorów Leroy i Aurisse, doradców w Zegrzu, pułk. A. G. Sabatier i ppułk. E. Eyrand, oficerów łącznikowych przy I-ej dywizji, pułk. Pactona, należącego też do tych, których szczegółowo wymienił gubernator wojenny Warszawy gen. Latinik w swem podziękowaniu, dalej kap Metier (Zegrze) i kap. Capé (Radzymin), dalej majora Boulangera, kap. Fogheriniego i wielu, wielu innych, których nazwisk nawet maj. Waligórze nie udało się jeszcze ustalić.

Jak widzimy z tego, lista jest duża, a czytelnik polski po raz pierwszy nie bez zdumienia dowiaduje się o „wydatnej działalności“, o aktywności i czujności oficerów francuskich. „Dawali więcej, niżby tego wymagały ich oficjalne obowiązki“. Asystowali przy budowie fortyfikacyj, składali pilnie referaty i raporty, wglądali w dokumenty i rozkazy, doradzali, korrygowali, bywali na wszystkich odcinkach, szli w tyraljerze (pod Radzyminem), wpływali na przyśpieszenie w akcjach, hamowali i odradzali zbyt ryzykanckiej eskapady. Niektórzy już przedtem na gwałt uczyli się po polsku jak np. Komandor Schwerer, główny doradca przy organizacji polskiej marynarki. Raz mieli oni rację ze swoim sceptycyzmem, a raz znowu polscy wodzowie ze swoim rozmachem, brawurą, znajomością terenu, konfiguracji ziemi i warunków lokalnych. W każdym jednak razie, żeby mogło potem przyjść do kontrofensywy z nad Wieprza, aby N. D. mogło spaść na tyły i flanki nieprzyjaciela, aby 16-tego sierpnia mógł się zacząć pościg zwycięski, trzeba było, aby przedtem była oswobodzona Warszawa, do czego w olbrzymim procencie, (przez wszystkich fachowców europejskich mocno akcentowanym) przyczyniła się współpraca trzydziestu kilku wyższych oficerów francuskich, z pięcioma generałami na czele no i „z p r a w ą r ę k ą“ m a r s z a ł k a F o c h'a...

Dobrze się tedy stało, że wreszcie i po latach „Polska Zbrojna“ stanęła śmiało na tem stanowisku, które w książce swojej: „*L'Aigle Blanc contre L'Etoile Rouge*“ zajął G. V. Sain-Dizier, no a obok niego kilkunastu „speców“ w różnych językach nie wyłączając i... rosyjskiego.

Suum cuique.

Bardzo słusznie też jeszcze raz stwierdzono (co już zdawna nie było tajemnicą), że odpowiedzialność za t. zw. wyprawę kijowską w pewnej mierze spada i na szefa misji francuskiej gen. Henrys, który doradzał uprzedzić nieprzyjaciela i przez własne uderzenie sparaliżować jego zamiary.

Mało znany i czytany, bo w lecie wyszedł, numer uroczysty „Polski Zbrojnej“ zagaił nieco patetyczną melodeklamacją ku czci rewolucji francuskiej p. Wł. L. Ewerth, posiadacz jak wiadomo największej ilości orderów bałkańskich i bałtyckich.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W wywiadzie p. Jędrzejewicza czytamy:

„Niektórzy panowie profesorowie lubią sobie wyobrażać, że jedynie oni reprezentują interesy nauki, że natomiast Rząd, a w szczególności minister oświaty skłonny byłby zwalczać naukę... Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że tak nie jest. Wystarczy podsumować coroczne budżety na cele naukowe i szkolne w ciągu lat naszej niepodległości, aby sobie zdać sprawę, z olbrzymiego wysiłku, jakiego R z ą d dokonał“...

W tym czasie było ze 20 ministrów oświaty, a taki Oswald Balzer, który „lubi sobie wyobrażać“, reprezentował stale interesy nauki. Dziennikarz, prowadzący wywiad, nie zapytał, czy społeczeństwo tych miljonów na naukę i oświatę nie daje rządowi dlatego właśnie, że chce mieć takich „panów profesorów“, jak Balzer i inni, i u nich się radzić w sprawach nauki.

*

Niezrównana PAT-iczna ogłosiła dn. 1 b. m. następującą depeszę:

„BERLIN (P. A. T.) — W dniu dzisiejszym policja we Wrocławiu dokonała rewizji w domu Brunatnym, miejscowej siedzibie organizacji hitlerowskiej. Rewizja ta stoi w związku z dochodzeniami w sprawie a k c j i a n t y p a ń s t w o w e j h i t l e r o w s k i c h o d d z i a ł ó w s z t u r m o w y c h“...

Tu już nic doprawdy nie można zrozumieć! Jeżeli hitlerowcy są przeciwnikami państwa niemieckiego, to dlaczegóż prasa sanacyjna uważała za nieszczęście dla Polski ich sukcesy? Przecież cieszyć się powinniśmy z tego, że wrogowie Państwa Niemieckiego rosną w siły. I to jeszcze jacy wrogowie! Nawet my przecież, znani z antyniemieckich dążności, nie jesteśmy przeciwni istnieniu Państwa Niemieckiego, jako takiego, zadowolilibyśmy się pewnem jego osłabieniem, rozbrojeniem...

A swoją drogą, to zastanawiające zjawisko, że w Niemczech jest dziś kilkanaście miljonów zorganizowanych Niemców, których celem jest zniszczenie Państwa Niemieckiego i wymazanie go z karty Europy. Jakich to czasów dożyliśmy! No, no...

*

P. Jakób Appenszlak, współredaktor warszawskiego „Naszego Przeglądu“ poetycko opisuje we wspomnianym dzienniku swe wrażenia z podróży do Palestyny. Oto charakterystyczny fragment tych impresyj:

„I znów na progu Palestyny padło hebrajskie powitanie „Szalom“ — tym razem z ust konsula Rzeczypospolitej“...

Jakież ten konsul ma subtelne wyczucie majestatu Rzeczypospolitej, którą reprezentuje! Jak wie dobrze, w jakim języku wypada konsulowi polskiemu witać obywateli Państwa Polskiego, przybywających z kraju na teren jego urzędowania!..

*

W pewnej wielkiej instytucji—zdarzenie autentyczne—naczelnik wydziału, idąc kurytarzem, zetknął się z samym Panem Prezesem. Zataiwszy dech w piersi, stanął w kornym ukłonie. Pan Prezes uprzejmie zapytał mimochodem:

— Pan Zetowicz — nieprawda?

— Tak jest, Panie Prezesie!

Niby nic. A jednak w jaźni biednego naczelnika zaszło wielkie zaburzenie, bo nazywał się Iksiński, bynajmniej nie Zetowicz.

— Co miałem robić?—tłumaczył się przed kolegami.— Czyż mogłem zaprzeczyć Panu Prezesowi?

I teraz nie ma już żadnej pewności, jak się właściwie nazywa.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.